

*Kultura Liberalna*

**USTAWIĆ POLSKĘ W CENTRUM  
25 LAT WOLNOŚCI I CO DALEJ?**

**1**

# **Ustawić Polskę w centrum 25 lat wolności i co dalej?**

© Kultura Liberalna, 2014

ISBN 978-83-940356-0-0

Projekt graficzny: Edgar Bąk  
Skład i łamanie: Ewa Masalska  
Korekta: Ewa Serzysko

Kultura Liberalna  
ul. Chmielna 15/9  
00-021 Warszawa

e-mail: [redakcja@kulturaliberalna.pl](mailto:redakcja@kulturaliberalna.pl)  
[www.kulturaliberalna.pl](http://www.kulturaliberalna.pl)

Dofinansowano ze środków:  
Fundacji im. Friedricha Eberta  
Trust for Civil Society in Central and Eastern Europe

## **SPIS TREŚCI**

- Wstęp. O nowy horyzont wolności 7  
Liberalizm, prawica, lewica – punkty sporne 11
- JAROSŁAW KUISZ**  
Dziurawe wiatraki, czyli jakiego obrazu sukcesów Polacy potrzebują 15
- MARTA BUCHOLC**  
Zupełnie nowa frustracja 21
- PIOTR KIEŻUN**  
Dzieci transformacji. Na marginesie książki Pauliny Wilk „Znaki szczególne” 25
- ŁUKASZ PAWŁOWSKI**  
Koziołki ofiarne 37
- BŁAŻEJ POPLAWSKI**  
Pamięć przemiany czy przemiana pamięci? 43
- TOMASZ SAWCZUK**  
Rozróżba i świętość. Lewicy i prawicy problemy z Okrągłym Stołem 49
- KACPER SZULECKI**  
Energia, ekologia i wolność. O niedokonanej rewolucji liberalnej w energetyce 55
- KAROLINA WIGURA**  
Okrągły Stół. Co znaczy grać w tę grę 61
- ŁUKASZ BERTRAM**  
Święto niedoskonałości 67
- MICHAŁ JĘDRZEJEK**  
III RP. Nasza mała nowoczesność 71
- JAN TOKARSKI**  
„Jaka piękna katastrofa”...? 77
- GRZEGORZ BRZOZOWSKI**  
Stracony symbol '89 – debata „Kultury Liberalnej” 81
- O „Kulturze Liberalnej” 93  
Nota edytorska 95



## Wstęp

### O NOWY HORYZONT WOLNOŚCI

Maria ma 70 lat, jest emerytowaną inżynier. Po 1989 roku przez kilkanaście lat pracowała za granicą, jakiś czas temu wróciła do kraju na emeryturę. Ona i jej rodzina żyją na godziwym poziomie, ale Maria nie ma wysokiego poczucia własnej wartości i samorealizacji. Ma świadomość polskiej modernizacji. Mimo to w kraju nie widzi dla siebie miejsca.

Szymon ma 40 lat i jest managerem. Sześć lat temu stracił pracę w dużej warszawskiej firmie telekomunikacyjnej. Długo nie mógł znaleźć zatrudnienia, koniecznego do utrzymania żony, synka i córeczki. Potem wysłał CV do Londynu. W ciągu miesiąca zaproszono go na rozmowę kwalifikacyjną i zaproponowano umowę o pracę na czas nieokreślony. Szymon przeniósł na Wyspy rodzinę, świetnie zarabia. Nie wie, po co miałby wracać do Polski.

Janek ma 24 lata, jest kierowcą. Utrzymuje żonę i dwie córeczki. Przez rok pracował na czarno dla człowieka, który obiecywał, że formalnie go zatrudni – ostatecznie wyrzucił z dnia na dzień. Teraz Janek pracuje w komunikacji miejskiej. Dostaje 2 tys. złotych na rękę i prowadzi autobusy 10 godzin dziennie. Gdy próbował

poskarżyć się dyrektorowi, ten powiedział: „Nie podskakuj mały, bo wylecisz”. Janek szuka nowej pracy, także za granicą.

W ciągu 25 lat wolności w Polsce na rynek pracy weszły trzy pokolenia. Losy jednej generacji nie przekładają się na powodzenie następnej. Ale, często paradoksalnie, wszystkie łączy zachwiana świadomość własnej wartości i strach o przyszłość. Te dwa uczucia przesłaniają radość z tego, jak rozwinęła się Polska w ostatnich dekadach. Większość z nas nie interesuje się politykami, którzy nieustannie zaklinają rzeczywistość, a to opowiadając o mesjaniścym micie Smoleńska, a to o zielonej wyspie.

Ale Janka, Szymona i Marię łączy potrzeba zrozumiałej narracji, która nada nowy sens idei polskiej wspólnoty. Dziś politycy nie mogą ustąpić z roli przewodnika tego społeczeństwa. Szczególnie, że coraz bardziej modna staje się opowieść o porażce kilku pokoleń. Część osób – tak z lewicy, jak i z prawicy – gotowa jest historię 25-lecia przekuć w mit o wykluczonych, o ofiarach transformacji i drapieżnego kapitalizmu, o niebotycznych kosztach przekształceń. Towarzyszą temu polityczne obietnice – najczęściej zupełnie bez pokrycia. Polityczne centrum jest zagrożone, amorficzne i bezbronne. Otacza je nie tylko mit bezwładu i sekretnych interesów, ale także ahistoryczności. Niesłusznie. Polska myśl wolnościowa ma dorobek oferujący przynajmniej część lekarstw na dzisiejsze dolegliwości.

Po pierwsze, lokalność. Należy wprowadzić w obieg język dumy z miejsca zamieszkania oraz język pozytywnego waloryzowania walki o najbliższe otoczenie.

Na tej płaszczyźnie można politycznie spotkać się z najaktywniejszą częścią młodych Polaków. Tu funkcjonuje grono osób zaangażowanych w trzecim sektorze, często pracujących społecznie i z poczuciem misji. Tu spotyka się młodych aktywistów miejskich. „Ulica jest moją ojczyzną” – mówią z pełnym przekonaniem. Kto

nauczy się rozmawiać z tą grupą społeczną, zyska przychyłność młodych.

Polscy liberałowie mogą wiarygodnie sięgać do własnych korzeni sprzed ćwierć wieku. Oni – jako jedni z pierwszych – stawiali na regionalizację i Polskę „małych ojczyzn”. Dziś opowieści sprzed lat brzmią trafniej niż kiedykolwiek. Tu otwiera się miejsce na dumę z konkretnych osiągnięć w danym czasie i miejscu – a dostrzeżenie potencjału we własnym otoczeniu pozwala postawić tamę narracji proemigracyjnej.

Po drugie, zwrot w stronę konkretnych jednostek. Polacy chcieliby żyć z poczuciem własnej wartości. Jak wydobyć politycznie ów element godności? Niezależnie od pokolenia, wyborcy gotowi są w najostrzejszych słowach wypowiadać się o stanie państwa i polskich politykach. Gdy jednak zapytać ich o sferę prywatnych doświadczeń, rysują obraz w jaśniejszych barwach.

Czas zatem zwrócić się w stronę jednostek i ich indywidualnych życiorysów. Nie afirmować zbudowanych mostów i odnowionych ulic, ale znów afirmować zaradność przeciętnego Polaka, dostrzegając przy tym zmiany w otoczeniu jego i jego rodziny. Polscy liberałowie podkreślali sposób, w jaki ludzie w ostatnich latach PRL wybijali się na godność przez pracę i własność. Warto przypomnieć te realne doświadczenia, nie zapominając o tym, że dziś młodzi najbardziej obawiają się o przyszłość. Kto będzie umiał z nimi na ten temat rozmawiać i wlać w ich serca nadzieję, zyska ich zaufanie.

Po trzecie, redefinicja wolności. Wedle danych Eurostatu i GUS, nierówności społeczne w Polsce od kilku lat nie rosną. Na tym tle Polska wypada lepiej od wielu innych państw Unii Europejskiej czy tym bardziej Stanów Zjednoczonych. Wiele osób wyraża jednak przekonanie dokładnie odwrotne, argumentując, że statystyki to nie wszystko, że liczy się subiektywne poczucie nierówności.

Trzeba zatem zmienić język, jakim mówi się o wolności i sprawiedliwości. Dziś nie można już sprowadzać wolności do wolnego rynku, pomijając jej aspekt wspólnotowy. Wolność bez stworzenia warunków do godnego, wspólnego z niej korzystania pozostanie jedynie mało znaczącym hasłem.

Tylko gdy uwzględni się te trzy elementy, można stworzyć nową wielką opowieść o Polsce.

# **Liberalizm, prawica, lewica – punkty sporne**

## **OCENA TRANSFORMACJI USTROJOWEJ**

Zarówno lewica, jak i prawica oceniają transformację ustrojową jednoznacznie negatywnie.

Dla prawicy porozumienia okrągłostołowe pomiędzy opozycją a przedstawicielami obozu rządzącego i następujące w ich wyniku wybory czerwcowe były zdradą ideałów „Solidarności”. Zgodnie z tym stanowiskiem z przedstawicielami PRL nie należało rozmawiać także dlatego, że blok komunistyczny pod koniec lat 80. wyraźnie chylił się ku upadkowi. Wystarczyło więc poczekać, by pełnia władzy trafiła w ręce opozycji. Zdaniem przedstawicieli prawicy jedynie radykalne – a nawet brutalne – odcięcie się od dawnego ustroju mogło stanowić mit założycielski III RP.

W ocenie lewicy z kolei wybory 4 czerwca doprowadziły w prostej linii do radykalnych reform gospodarczych wprowadzanych przez ówczesnego ministra finansów, Leszka Balcerowicza. Reformy te nie zostały poddane nawet dyskusji parlamentarnej, a zatwierdził je sejm sformowany po częściowo wolnych wyborach. Była to zatem zmiana zaprojektowana przez elity, która nie miała szerokiego poparcia społecznego. Podobnie jak

przedstawiciele prawicy, także polska lewica uznaje proces transformacji za sprzeczny z ideałami demokratycznymi.

Zdaniem liberałów logika zmian nie była zaplanowana, wypracowywano ją w trakcie ich realizacji. Wynik wyborów czerwcowych był zaskoczeniem dla obu stron i, mimo sukcesu obozu solidarnościowego, nie było wówczas wiadomo, kto zostanie premierem, nie mówiąc o stanowisku ministra finansów. Odkładanie porozumienia z władzą w czasie również nie było dobrym rozwiązaniem – pomimo pewnych oznak kryzysu bloku socjalistycznego, pod koniec lat 80. mało kto mógł przypuszczać, że tak szybko dojdzie do rozpadu zimnowojennego porządku geopolitycznego. Zarówno prawica, jak i lewica rozpatrują te wydarzenia z dzisiejszej perspektywy, ignorując ówczesny stan wiedzy.

### **REFORMY GOSPODARCZE**

W ich krytycznej ocenie przedstawiciele polskiej lewicy i prawicy także są zaskakująco zgodni, zwracając uwagę przede wszystkim na koszty ekonomiczne i społeczne tych reform. Do tych pierwszych zalicza się m.in. wysokie bezrobocie i inflację, do tych drugich z kolei atomizację społeczną, zniszczenie kapitału społecznego i patologiczny indywidualizm.

Liberałowie dostrzegają koszty społeczne, jakie wiązały się z wprowadzeniem zmian, ale jednocześnie podkreślają dramatyczną sytuację gospodarczą kraju, która radykalnie uszczuplała zakres dostępnych alternatyw. Zadłużenie Polski i brak płynności finansowej nie pozwalały na zaciąganie kolejnych pożyczek. Reformy gospodarcze – mimo często kontrowersyjnych skutków – doprowadziły do uspokojenia sytuacji, a polska gospodarka weszła na ścieżkę wzrostu jako pierwsza spośród wszystkich gospodarek byłego bloku wschodniego.

Podobnie jak decyzje polityczne, także wybory gospodarcze dokonane w tamtym czasie są często arbitralnie oceniane z dzisiejszej perspektywy, a ich krytycy zwykle nie biorą pod uwagę ani stanu ówczesnej wiedzy, ani panujących warunków.

### **ROLA PRYWATNEJ PRZEDSIĘBIORCZOŚCI**

Możliwość prowadzenia własnej działalności gospodarczej stanowi dla liberałów jeden z ważniejszych filarów indywidualnej godności. Wbrew lewicy i prawicy, liberałowie podkreślają również, że kapitalizm był w Polsce budowany przede wszystkim przez drobnych przedsiębiorców, nie zaś wielkie koncerny.

Z rezerwą liberałowie odnoszą się także do twierdzeń przedstawicieli lewicy, jakoby prywatna przedsiębiorczość doprowadziła do erozji kapitału społecznego i więzi międzyludzkich. Lewicowa narracja sugeruje bowiem, że pod koniec lat 80. poczucie wspólnotowości i wartości egalitarne stały na nadzwyczajnie wysokim poziomie, co jest nieuprawnioną idealizacją tamtego okresu.

### **WOLNOŚĆ PO ROKU 1989**

Lewica skupia się na tych aspektach rzeczywistości, w których wolność została znacznie ograniczona, bądź które świadczą o niezadowolającym jej poziomie. Zwraca uwagę m.in. na brak poszanowania dla praw reprodukcyjnych kobiet, nadmierny wpływ Kościoła katolickiego na proces polityczny, czy nietolerancję wobec mniejszości seksualnych. Dla rozwiązania tych problemów osoby o orientacji lewicowej proponują import rozwiązań prawnych i instytucjonalnych z krajów zachodnich, ignorując jednak lokalny kontekst, w jakim przyszło im działać.

Prawica z kolei podkreśla rzekomą erozję tradycyjnej kultury oraz obyczajów, przywołując przy tym wyidealizowany obraz

polskiego społeczeństwa, pozbawiony ugruntowania w faktach historycznych.

Liberałowie na pierwszym miejscu stawiają swobodę wyboru, jaka powinna przysługiwać jednostce. Opowiadają się za rozwiązaniami prawnymi służącymi poszerzeniu tego obszaru przy jednoczesnym poszanowaniu zobowiązań, jakie członkowie wspólnoty mają wobec siebie. Poczucie solidarności społecznej liberałowie starają się jednak budować nie na podstawie religijnej, do czego nawołuje prawica, ani na wysuwanych na pierwsze miejsce ideale równości, jak chce tego lewica. Dla liberałów wartością najwyższą pozostaje indywidualna wolność oraz poszanowanie praw drugiego człowieka do swobodnego wyboru drogi życiowej. Te fundamentalne wartości „liberalnego patriotyzmu” powinny znajdować oparcie także w tradycjach polskiego liberalizmu.

## **Dziurawe wiatraki, czyli jakiego obrazu sukcesów Polacy potrzebują**

**Przyszedł czas, by zmienić narrację o współczesnej Polsce. 25. rocznica wyborów czerwcowych jawi się jako święto, podczas którego obywatele zmuszani są, by z uśmiechem pić z czary przepelnionej goryczą. Wielu autentycznych bohaterów wolnej Polski przekazuje następnym pokoleniom swoje rozczarowanie rzeczywistością. A ci, którzy próbują powiedzieć cokolwiek pozytywnego o początkach III RP, zostają często uznani już nie tylko za osoby naiwne, ale za pozbawionych społecznej wrażliwości hipokrytów.**

W ostatnim czasie wybitni polscy intelektualiści jeden po drugim poddają III RP ostrej krytyce. Marcin Król wyznał niedawno, że niesłusznie przed laty promował idee drapieżnego kapitalizmu. Postawa ta wzbudziła u wielu szacunek. Jednak Król nie ma tak naprawdę powodu, by bić się w piersi. Już w maju 1988 roku [sic!] ostrzegał przed rozpowszechnianiem się nad Wisłą wulgarnego, XIX-wiecznego leseferyzmu. Przypominał wówczas, że istnieje

liberalizm wrażliwy społecznie i nawoływał, by w polityce uwzględniano wartości i cnoty, „które nic wspólnego z kategorią interesu nie mają, chociaż wcale nie muszą być z nią sprzeczne”.

### 5-10-15...

Obwieszczenie klęski transformacji przypomina charakterystyczne dla Polaków roztrząsanie przegranych bitew i powstań narodowych. I tylko dawny dylemat „bić się czy nie bić” zastępują z wolna pytania w rodzaju: „prywatyzować czy nie prywatyzować”.

A przecież negatywna ocena polskiej transformacji to żadna nowość. Wystarczy przyjrzeć się, jak wyglądała sytuacja pięć, dziesięć czy piętnaście lat po przełomie. Można z łatwością przywołać stosowne opinie Jana Józefa Lipskiego czy Jacka Kuronia, a także sięgnąć do najważniejszych czasopism krajowych i emigracyjnych. Na określenie pierwszej „pięciolatki” w paryskiej „Kulturze” znajdziemy następujące słowa: „Jest oczywiście lepiej, niż za komuny. Lecz zarazem zbyt wielu ludziom w Polsce wolność pomyliła się z samowolą, prawa rynku z rozbojem, zaś o dyscyplinie demokracji w ogóle nie można mówić. Rzuca się to ludziom na mózgi”. Nieco wcześniej Paweł Śpiewak w „Przełądzie Politycznym” ciętym językiem podsumowywał klęskę Kongresu Liberalno-Demokratycznego i Donalda Tuska, twierdząc, że liberałowie „przeegrali, wierząc w nadrzędność ekonomiczną i jej sprawczą rolę”.

Opublikowaną w „Znaku” dyskusję o dorobku transformacji z okazji dziesięciolecia wyborów czerwcowych zatytułowano z porażającym wprost entuzjazmem: „Mogło wyjść lepiej”. Po kolejnym pięcioleciu, gdy w „Więzi” Wojciech Arkuszewski usiłował niuansować dorobek pierwszych 15 lat przemiany – wyliczając m.in. zwiększenie średniej płacy miesięcznej, wzrost długości życia i spadek śmiertelności niemowląt – został w trakcie dyskusji

redakcyjnej szybko przywołany do porządku. Zarzucono mu niedostateczne uwzględnienie problemu bezrobocia oraz „alienacji szerokich kręgów społecznych”. Przykłady te dowodzą, że jeśli ktoś twierdzi, iż wśród elit przez 25 lat głosów wrażliwych społecznie na trudy przemian nie było, po prostu rozmija się z prawdą.

### **RZĄDOWE „KLIPY Z WIATRAK AMI”**

A może Polacy nie umieją zmobilizować się do dalszego działania inaczej, jak przez propagowanie negatywnego obrazu transformacji? Gdyby tak było, to niesławny film premiera Tuska „za 7 milionów” z „Hey Jude” i Paulem McCartneyem po prostu musiałby trafić w próżnię.

Narracja klęski istniejącego ustroju III RP, rozwijana równolegle na lewicy i prawicy, częściowo żywi się fikcjami. Przykładem choćby kwestia rosnących nierówności, o której tak często słyszymy. Powiedzmy zatem: „Sprawdzam”. Według Eurostatu w latach 2005–2012 nierówności zmniejszyły się, a nie zwiększyły. Uczciwie dodajmy, że niektórzy ekonomiści zakwestionowali owe hurraoptymistyczne dane, twierdząc, że zastosowana miara nierówności (tzw. współczynnik Giniego) nie jest adekwatna do polskich realiów. Zalecano na przykład sięgnięcie do bardziej wiarygodnych danych Głównego Urzędu Statystycznego („Budżety gospodarstw domowych”). Nawet gdy przyjmiemy tę korektę, wnioski okazują się podobne: rozwarstwienie w dochodach Polaków w ostatnim okresie się nie zmienia.

Ocena złożonego zjawiska nierówności w społeczeństwie jedynie w oparciu o analizę wysokości zarobków to nazbyt grube ciosanie rzeczywistości. Oprócz poziomu dochodu znaczenie ma także subiektywne postrzeganie jakości życia, a także tego, czy obywatele czują się godnie traktowani przez państwo i pracodawców. Tutaj sformułowanie jednoznacznej opinii jest już

trudniejsze. Jeśli jednak pacjent miewa się nie najlepiej, to najważniejsza wydaje się prawidłowa diagnoza choroby. Dlaczego Polakom poczucie sukcesu przecieka przez ręce?

Coraz więcej socjologów i badaczy rozwarstwienia twierdzi, że za właściwe kryterium podziału Polaków na zwycięzców i przegranych transformacji ustrojowej uznać należy nie tyle pieniądze, co umiejętność myślenia, budowania relacji z innymi, ogłada oraz wykształcenie. Krótko mówiąc, w Polsce podziały są związane nie tylko z dystynkcjami ekonomicznymi czy rodzajem wykonywanej pracy, lecz także z kapitałem kulturowym i społecznym. W tym właśnie sensie „dwie Polski”, o których lubią rozpisywać się nasi publicyści, naprawdę istnieją.

I może z tego samego powodu dla wielu obywateli to nie rządowy „klip z wiatrakami”, ale raczej „Drogówka” Wojciecha Smarzowskiego pozostaje bardziej wiarygodnym zwierciadłem III RP. Film przyciągnął do kin tłumy. Obraz skorumpowanej policji i totalna klęska bohatera w walce z systemem – przypominające potyczki bohaterów „kina moralnego niepokoju” z Polską Ludową – wielu widzów uważa za trafny obraz III RP.

### **REWOLUCJA GODNOŚCI**

Czy toksyny PRL wciąż wywierają na nas wpływ? Niewykluczone. To przecież społeczeństwa bez państwa zwykle wykazują głęboką potrzebę kulturowego egalitaryzmu. Jakikolwiek budowanie hierarchii, nawet jeśli stanowiące skutek samorealizacji i ciężkiej pracy jednostek i grup społecznych, musi spotykać się z potępieniem otoczenia.

Ogromnym wyzwaniem, które przed nami stoi, jest zbudowanie społeczeństwa dojrzałego liberalizmu. Społeczeństwa, w którym awans ekonomiczny jednych nie oznacza pauperyzacji drugich. To wymaga znacznie głębszego namysłu nad otaczającą

nas rzeczywistością. Potępienie *a priori* wszystkich nierówności jest niewątpliwie szlachetne, jednak w przynieść nam może wyłącznie nowe frustracje. Prawdziwe polskie problemy pozostaną nierozwiązane. A opowieści z morałem „gloria victis” przejdą na następne pokolenie.

Mamy pod ręką i inne narracje, którymi możemy oddać charakter transformacji. Wystarczy przyrzeć się opowieściom osób, które pod koniec PRL stawiały pierwsze kroki w przedsiębiorczości, by zrozumieć, iż zmianę tę pojmowano wówczas jako rewolucję godności. Osoby, które na mikroskopijną skalę rozpoczynały swój biznes, doznawały nagle fantastycznej przemiany. Opuszczało je poczucie beznadziei życia w Polsce Ludowej. „Waldek stał się Panem Waldemarem”, wspominał Jan Krzysztof Bielecki o kole-dze, który kupił ciężarówkę i założył własną firmę przewozową. Jego znajomy za zarobione pieniądze zaangażował się w pomoc lokalnej społeczności, organizując m.in. wyścig kolarski dla dzieci. To wszystko przed 1989 r. Tacy ludzie zaczęli wierzyć we własne siły i wbrew rozpowszechnionym dziś przekonaniom, nie zamieniali się w obojętne na los innych „potwory kapitalizmu”.

Słyszając takie historie, ktoś może parsknąć śmiechem. Niestety, ale takie reakcje, świadczą tylko o tym, że język opisu rzeczywistości, jaki wytworzyły polskie elity, jest wysoce ograniczony. I że mało w nim pluralizmu. W 2014 r. jasne jest, że poprzednie pokolenie nie wypracowało wiarygodnego wzorca zaangażowania w sferę publiczną innego niż dysydencki.

Obecnie ludzie młodzi, stojąc wobec zupełnie nowych problemów (rodzaj umowy o pracę, sens studiów wyższych, kredyty na mieszkanie), potrzebują wiarygodnych, rodzimych wzorców. Matryc postępowania, które dadzą nadzieję poprawy losu i pokażą jak do tej zmiany dążyć w nowych warunkach. Te wzorce są zako-pane w czasach przełomu 1989 r., w tysiącach prywatnych historii.

Potrzebujemy wiarygodnej narracji o III RP, która nie jest tożsama ani z lamentem nad przegraną sprawą, ani z bezmyślnym zachwytem nad wytworzoną przez ostatnie 25 lat rzeczywistością. Jeśli nie uda nam się przeprowadzić rzetelnego podsumowania, dalekowzroczone plany na przyszłość może zastąpić pełna wzajemnych rozczarowań klótnia między „ojcami” a „dziećmi” transformacji.

Ale znacznie bardziej prawdopodobny jest inny scenariusz. Oto kolejne tysiące młodych ludzi po prostu powtórzy jeszcze jeden utrwalony historycznie kod kulturowy. Wyemigrują z krajowniczym po kolejnym przegranym powstaniu.

Stanie się to „dzięki” starej narracji, usłudze podsuniętej przez poprzednie pokolenia Polaków.

**DR JAROSŁAW KUISZ**

historyk prawa i analityk polityki, redaktor naczelny  
„Kultury Liberalnej”.

## Zupełnie nowa frustracja

**Moja hipoteza jest następująca: dla dzisiejszej oceny 25-lecia decydująca jest frustracja wywołana nadmiarem możliwości. Mapa polskiej frustracji jest zszyta z miriad różnokształtnych strzępków indywidualnego niespełnienia.**

Dlaczego ludzie myślą to, co myślą? Bo takie są warunki. Dlaczego zmieniają zdanie? Bo warunki się zmieniły. Nad słabościami tego rodzaju naiwnej socjologii wiedzy nie ma potrzeby się rozwodzić. Towarzyszy jej nieufność wobec idei oraz niechęć do przyznania im jakiegokolwiek mocy sprawczej. Sprawstwo w sferze ducha jest dziś dla nas zbędnym założeniem, wystarcza nam sprawcze władztwo struktur, konfiguracji i układów, z których, niebacznym na zamykające się wokół nas błędne koło, chcemy wywodzić sens.

Rozważania nad zbiorowym samorozumieniem, wyrażającym się w debacie o minionych 25 latach historii Polski, wyraźnie należą do opisaney powyżej szkoły myślenia. To, że wiele się w społeczeństwie zmieniło, widać gołym okiem. Gołe oko to instrument w obserwacji życia społecznego absolutnie niewiarygodny, ale

przydatny tam, gdzie rzecz trzeba dla wygody i oszczędności czasu maksymalnie uprościć – czyli przede wszystkim w mediach i polityce. Gołym okiem widać również, że społeczeństwo dokonuje refleksji nad ową zmianą. Refleksja ta ma być zarazem autorefleksją społeczeństwa, które jest i przedmiotem, i podmiotem zmiany.

Chcemy odczytywać stan debaty nad 25-leciem jako znak stanu duchowego społeczeństwa, poszukując przyczyn, dla których z perspektywy ćwierćwiecza nasz pogląd na transformację sam zdaje się ulegać transformacji. Żadne zjawisko społeczne nie ma jednej przyczyny i żadnego nie da się wyjaśnić zupełnie i bez reszty: to socjologiczny banał. Można jednak proponować kolejne częściowe wyjaśnienia. Moja hipoteza jest następująca: dla dzisiejszej oceny 25-lecia decydująca jest frustracja wywołana nadmiarem możliwości.

Celowo nie mówię tu o możliwości czegoś określonego, nadmiar możliwości jest bowiem wszechobecny. Możemy zostać w kraju albo wyjechać, a wyjechawszy, możemy wrócić albo nie. Możemy pracować za mniej albo więcej, możemy stracić pracę, możemy ją odzyskać, możemy podjąć działalność gospodarczą, możemy ją rozwinąć i możemy zbankrutować. Możemy głosować albo nie. Możemy studiować za darmo albo za pieniądze. Możemy zbierać środki i możemy zebrać za mało. Możemy wziąć kredyt we frankach i możemy go nie spłacić. Możemy się ubiegać, możemy wygrać, możemy przegrać.

Ten natłok możliwości nie jest bynajmniej specyficzny dla Polski czy w ogóle dla społeczeństw, które doświadczyły transformacji systemowej. W Polsce porównanie z czasami sprzed 1989 r. (dla coraz większej części dorosłych Polaków znanymi co prawda tylko z drugiej ręki) zaostrza co najwyżej negatywne skutki owej przemiany, z których najdotkliwszym jest frustracja.

Frustracja ta jest zupełnie innego rodzaju niż wywoływana przez właściwą poprzedniemu systemowi powszechną niemożność.

Niemówność ma to do siebie, że gdy znakomita większość ludzi wokół nas może równie mało, co my, poczucie niespełnienia niewiele znajduje pożytki w porównywaniu się z bliźnimi. Oczywiście, ponieważ niemożność bynajmniej nie była w Polsce przed rokiem 1989 egalitarna, frustracja wynikła z przeglądania się w oczach drugiego była nam znana. Nie znaleźliśmy jednak bólu, jaki niesie ze sobą przedstawienie się na egzystencjalny okres warunkowy nierzeczywisty.

Polacy musieli się nauczyć, że wielość możliwości nie daje automatycznie spełnienia, bo możemy ich nie wykorzystać lub wykorzystać je źle. A wtedy szansa przemija, pozostaje „gdyby”. Co gorsza, ponieważ możliwości jest mnóstwo, inni wokół nas wykorzystują je lepiej, korzystniej, bardziej innowacyjnie i kreatywnie. Widzimy wręcz całe powstające z niczego sfery, do których w ogóle nie mamy wstępu, bo jesteśmy odrobinę za starzy, za młodzi, zbyt powolni, za słabo znamy angielski, nie znamy kantońskiego, mamy zbyt liczną rodzinę, za mało urlopu albo zaglądamy na niewłaściwe strony internetowe. Gdybyśmy tylko... Ale nie. To nawet nie nasza wina czy zasługa tych, którym się udaje. To rozkład możliwości.

Rozkład ten jest nierówny i bardzo zmienny. W rezultacie nawet ludzie pod pewnymi względami lokujący się społecznie bardzo blisko siebie będą mieli zupełnie inny zestaw możliwości i co za tym idzie – zupełnie inne powody do frustracji. Ich podstawa do oceny własnego położenia będzie więc różna. Nawet jeśli przesłanka jest dla wszystkich ta sama – boom możliwości po roku 1989 – wynik jest inny dla każdego. Wszak możliwości nieuprzejmie odmawiają rozkładania się ściśle według przewidywalnych kombinacji kryteriów klasowych, pochodzenia, zawodu, wykształcenia czy nawet wieku.

Mapa polskiej frustracji jest zszyta z miriad różnokształtnych strzępków indywidualnego niespełnienia. Trudno zrozumieć jego wpływ na myślenie, a jeszcze trudniej to rozumienie uogólnić,

by mówić o społeczeństwie jako podmiocie autorefleksji nad minionym ćwierćwieczem. Być może jakieś podsumowanie indywidualnych pożądań i niespełnień dokonuje się dziś w naszym społeczeństwie, ale dzieje się to zapewne poza nawiasem ogólników i uproszczeń, na których ogniskują się medialne i polityczne spory.

**DR MARTA BUCHOLC**

adiunktka w Instytucie Socjologii UW, członkini redakcji „Kultury Liberalnej”.

## **Dzieci transformacji. Na marginesie książki Pauliny Wilk „Znaki szczególne”**

**Pamiętają PRL, lecz kształcili się już w nowej rzeczywistości. Nie starzy, ale już nie najmłodszy. Kim są dzisiejsi trzydziestolatkowie, dorastający w cieniu ustrojowej transformacji?**

Kiedy na początku nowego milenium jeden z moich uniwersyteckich profesorów stwierdził, że w Polsce potrzeba młodych ludzi, którzy nie będą obciążeni przykrym bagażem komunizmu i syndromem biednego sąsiada Zachodu, myślałem, że mówi o mnie i moich kolegach ze studiów. „Nie, panie Piotrze, nie o was chodzi. Mówię o młodszych”, odparł śmiertelnie poważnie. Poczulem lekki zawód. Schyłek komunizmu pamiętałem jak przez mgłę, raczej w postaci pojedynczych obrazków utrwalonych w pamięci niż jako przeżywaną świadomie historię. W mojej głowie kołatały się wspomnienia żółtawych kartek na mięso, butów „Relaksów”, butelek z mlekiem ze srebrnymi kapslami i czarno-białego telewizora z czołówką dziennika telewizyjnego. To było, owszem, moje wczesne dzieciństwo, ale dorastałem już w latach 90. Tak jak moi koledzy, zwiedzałem wówczas Europę (koniecznie zachodnią),

uczyłem się obcych języków, żyłem szansą na samodzielność w „normalnym kraju” – jak zwykle mawiać z nadzieją w głosie pokolenie naszych rodziców.

A jednak pamięć komunizmu – a raczej pamięć tego, co po komunizmie zostało do uprzątnięcia – rzeczywiście zaciążyła na biografii mojej i moich rówieśników. Politycznym tematem numer jeden była dekomunizacja. Rozgrzewała namiętności nie tylko dorosłych. O bieżącej polityce dyskutowaliśmy również na przerwach w liceum, przenosiliśmy rodzinne spory na nieporadny nastoletni grunt. Kończąc szkołę średnią, staliśmy już właściwie dwiema nogami w nowej rzeczywistości, ale nasze markowe obuwie nosiło jeszcze ślady niezbyt wesołej przeszłości – błotko siermiężnych lat 80. i nieco mniej siermiężnych, za to pełnych tandety, początków lat 90. Jeszcze nie mieliśmy poczucia, że żyjemy w miejscu prawdziwie nowoczesnym (słowo klucz wszystkich sporów o Polskę), ale już nie byliśmy obywatelami demoludów.

Jak opisać hybrydową tożsamość pokolenia urodzonego w okolicach 1980 r.? A przede wszystkim – w jaki sposób to, co było najbardziej powszechnym generacyjnym doświadczeniem, definiują osoby, które do niego przynależą?

Dotychczas praktycznie nikt z trzydziestolatków nie zdecydował się udzielić na te pytania bardziej obszernej i wnikliwej odpowiedzi. W przeciwieństwie do wcześniejszego pokolenia, dla którego formacyjnym wydarzeniem okresu dorastania był stan wojenny, „dzieci transformacji” jeszcze nie opisały swojej historii. Nie oznacza to jednak, że nic o sobie nie mówią. Tu i ówdzie pojawiają się próby opowiedzenia własnego losu.

Kłopot w tym, że trzydziestolatkowie, których trwający od 2008 r. światowy kryzys ekonomiczny nie tyle zubożył, ile pozbawił poczucia istnienia stabilnego jutra, nazbyt często zaczynają popadać w błąd anachronizmu, projektując na przeszłość bolączki

teraźniejszości. To, co otrzymujemy, to manichejski obraz polskiej transformacji. Co jest w nim czarne? To oczywiste – wolny rynek, liberalizm i indywidualizm. Co białe? Tu odpowiedzi nie są już tak jednoznaczne. Coraz częściej jednak słychać w nich nutę nostalgii za rzeczywistością przedtransformacyjną, która zaczyna jawić się jako oaza społecznego egalitaryzmu zmiecione go podmuchem przemian roku 1989. Czy jednak nie nazbyt pochopnie odwracamy w ten sposób wektor wartości, zapominając o tym, jak pełne beznadziei i szarości były lata 80. i jak wielką energię społeczną uwolniła transformacja wczesnych lat 90.? Pytanie to jest tym bardziej zasadne, że w tak przedstawionej historii portret pokolenia urodzonego mniej więcej w roku 1980 zaczyna przypominać konterfekt szkicowany na podstawie odbicia w krzywym zwierciadle, a więc z wyolbrzymionymi niektórymi cechami. Pokolenie dorastające w czasie transformacji niebezpiecznie przypomina na tym obrazku ją samą, nakreśloną grubą krechę współczesnej lewicowej lub prawicowej krytyki – jest żądne sukcesu za wszelką cenę, egoistyczne i nastawione na konsumpcję. A na dodatek oszukane, gdyż rozbudzono w nim ambicje, których nikt nigdy nie będzie w stanie zaspokoić. Czy jednak te cechy to naprawdę nasza generacyjna *differentia specifica*?

Dobrym asumptem do rozważań nad tą kwestią jest książka Pauliny Wilk „Znaki szczególne”. Jak czytamy na ostatniej stronie okładki, jest to „prywatny zapis dorastania” – opowieść pisana przez dziecko transformacji o dzieciach transformacji, które „dojrzały razem z nową rzeczywistością” i które „dziś mają wiele do powiedzenia o obchodzącej właśnie 25-lecie wolnej Polsce”. Zaimek „oni” jest jednak tutaj nieuprawniony. Opowieść Wilk to bowiem doskonały przykład sprowadzenia kwestii pokoleniowego doświadczenia do jednego, wyolbrzymionego i zdemonizowanego mianownika – rzekomej choroby indywidualizmu.

## PODWÓRKOWE AXIS MUNDI

Całą krytykę „Znaków szczególnych” warto zacząć od jej niewątpliwych walorów, a raczej jednego rzucającego się w oczy waloru. Wilk, która napisała książkę przede wszystkim wspomnieniową, jest doskonałą kolekcjonerką przedmiotów. Przedmiotów i opisów czynności związanych z tymi przedmiotami. „Znaki szczególne” to bowiem głównie katalog rzeczy, które otaczały autorkę w latach 80. i w okresie transformacji. Któż z nas, urodzonych w czasie karnawału „Solidarności”, nie pamięta osiedlowego trzepaka, który był podwórkowym *axis mundi*, kolekcjonowania puszek po piwie i zagranicznych napojach, pierwszych BMX-ów, kalkomanii, projektorów do wyświetlania bajek, komputerów Commodore, na których grało się u zamożniejszych kolegów w Pac-Mana, oranżadek w woreczkach foliowych, kupowanych w szkolnym sklepiku, czy radiomagnetofonów Kasprzaka i pierwszych walkmanów? Lista dziecięcych fetyszy jest u Wilk doprawdy imponująca i opisana ze swadą. Dzisiejsi trzydziestolatkowie z zaskoczeniem skonstatują, że niemal wszystkie z nich tworzyły imaginarium okresu dorastania. Być może dorzucą to i owo albo dokonają na swój użytek lekkiej korekty (Wilk miała radziecką elektroniczną grę z wilkiem zbierającym jajka w kurniku, ja z bratem – kucharzyka podrzucającego na patelni naleśniki i udka kurczaka), ale w gruncie rzeczy odnajdą się w bogatym opisie autorki. Starsi również się nie rozczarują. Dowiedzą się, co wprawiało w podniecenie ich małe pociechy. I być może tylko najmłodszy czytelnicy, urodzeni już po 1989 r., będą musieli sobie od czasu do czasu coś „wygooglować”, żeby sprawdzić, jak wyglądała transformacyjna rzeczywistość.

Wszystko to przypomina osławioną niemiecką „OSTalgię”, czyli nostalgię za czasami NRD. Przedmioty z PRL-u też wracają dziś do łask, choć częściej jako „oldschoolowy” gadżet dla tych, którzy Polski Ludowej w ogóle nie pamiętają. W przypadku książki

Wilk słowo „ostalga” pasuje jednak bardzo dobrze. O kolekcjonerskiej manii autorki decyduje bowiem nie tyle oryginalność peerelowskiego designu, ile wspomnienie tego, czego ów design był milczącym świadkiem. A były to... równość i braterstwo.

### **RÓWNOŚĆ, CZYLI NYLONOWY FARTUSZEK**

I tu zaczynają się schody. O ile studium przedmiotów wyszło Wilk całkiem zgrabnie, o tyle wielkie podsumowanie aspiracji, sukcesów i rozczarowań pokolenia urodzonego w 1980r., a przede wszystkim umiejscowienie go na tle innych generacji i całokształtu politycznych przemian lat 90. wypada sztampowo i mało przekonująco.

Przed wszystkim cała książka podszyta jest wyidealizowanym obrazem dorastania w końcówce lat 80. Z jednej strony to nie dziwi. W końcu jeśli rodzina, w której się wychowaliśmy, nie była patologiczna, łatwo jest stworzyć na własne potrzeby mit złotego wieku. Tym bardziej, że w owym złotym wieku niemowlęctwa mieliśmy nie więcej niż dziewięć lat i pamiętamy z niego – i to w przebłyskach – jedynie życie domowo-szkolno-podwórkowe.

Oczywiście nie oznacza to, że na poziomie faktograficznym nie ma w książce Wilk trafnie odmalowanych pokoleniowych obrazków. Tak jak wówczas, gdy przytacza szkolne wspomnienia. „Na pierwszym klasowym zdjęciu wszyscy jesteśmy do siebie bardzo podobni – pisze Wilk w jednym z pierwszych rozdziałów – uroczyście wyprostowani, w zwykłych szkolnych fartuszkach i tenisówkach”. Pamiętam te nylonowe mundurki, których szczerze nienawidziliśmy. Nawet bardziej zamożni koledzy mieli do dyspozycji ten sam model z dopinającym, białym kołnierzykiem.

To dobra ilustracja często podkreślanej przez autorkę względnej materialnej równości w dogorywającym komunistycznym państwie. Gorzej, gdy wysnuwa się z tego uniwersalny morał. Równość końcówki PRL-u nie miała w sobie nic z egalitarnej idylli,

w której mocą empatii wstrzymujemy się od konkutowania z otoczeniem, jak chciałaby autorka. Była to równość wymuszona przez otaczającą wszystkich mizერიę, co nie przeszkadzało już wtedy w ściganiu się maluchów w przedszkolu czy w podstawówce na zabawki („matchboxy” i lego *contra* niepasujące do siebie rodzime klocki), jedzenie (želki Haribo *contra* wyroby czekoladopodobne) czy nawet zwykłą pastę do zębów przynoszoną przez rodziców na kolektywne szczotkowanie uzębienia (zagraniczne owocowe *contra* niepieniąca się polska pasta z wiewiórką).

I znowuż wcale nie byliśmy tak razem i nie „bawiliśmy się sprawiedliwie”. Tworzyły się wśród nas hierarchie, podziały, podgrupy. Byli słabsi i silniejsi. Liderzy i wykluczeni. Instynkty mieliśmy te same, co dzieci w innych okresach, i to od niepamiętnych przedszkolnych czasów, a nie od 1989 r., „zaglądałiśmy sobie do piórników, sprawdzając, czego warto zazdrościć”. Mniejsze były tylko możliwości i – co trzeba uczciwie przyznać – skala tych gadżetowych zawodów.

### **DORASTANIE I OTCHŁANIE INDYWIDUALIZMU**

Oczywiście *differentia specifica* pokolenia transformacji było doświadczenie samej transformacji. Warto jednak postawić sobie pytanie, czy wymienione przez Wilk groźne symptomy zachłyśnięcia się otwartymi nagle możliwościami, u których podstaw stał wolny rynek i demokratyczne przemiany, dobrze opisują to, co się stało z nami i tylko z nami. Oto zgodnie z narracją autorki równość, braterstwo oraz – koniecznie trzeba uzupełnić ten rewolucyjny duet – stabilność i trwałość dziecięcego świata zostały naruszone przez konsumpcjonizm, technologiczne przyspieszenie i rozbuchany indywidualizm.

I znów, wszystko to po trochu prawda. „Nie wiedzieliśmy – pisze Wilk – że cnota trwałości właśnie przemija. I że jednorazowość,

łatwa wymienialność oraz krótkie życie urzędzeń staną się nową normą”. Rzeczywiście, załazy nas jednorazówki, sprzęty obliczone na funkcjonowanie trzy, góra pięć lat. Zanim przyzwyczailiśmy się do jednego modelu telefonu komórkowego, na rynek wchodził już następny – coraz mniejszy, nowocześniejszy, bardziej multifunkcyjny. To prawda, że chcieliśmy być niezależni, wykształceni, samodzielni i przedsiębiorczy, nawet jeśli niektórym gen biznesowego ryzyka nie był dany. Zgadza się również dobrze uchwycony przez autorkę fakt, że pchali nas do tego rodzice. Byliśmy ich nadzieją. Wierzyli, że jeśli nie oni, to przynajmniej my skorzystamy z historycznej szansy. Prawdą jest również, że dawne przyjaźnie osłabły i że niejako żyjemy obok siebie, a jeśli idzie o rodziców, w pewnym sensie – jak pisze autorka – „opuściliśmy się nawzajem”.

W tej układance nic jednak nie jest tak jednoznaczne, jak chciałaby Wilk. Technika i mechanizm wzmożonej konsumpcji dóbr zaskoczyły wszystkich w jednakowym stopniu. Zarówno ludzi urodzonych w 1980 r., jak i tych, którzy na świat przyszli w 1970, 1960, a nawet 1950 r., a więc również naszych rodziców. Nie wszystkich negatywnie, bo nie każdy zdawał sobie jeszcze sprawę z tego, że „w warunkach nowożytnych nie destrukcja, ale zabezpieczanie, konserwacja rzeczy wieści ruinę”, jak pisała w „Kondycji ludzkiej” Hannah Arendt. Cyfrowa i konsumpcyjna rewolucja była doświadczeniem nie pokoleniowym, lecz narodowym.

Nie za bardzo też można zgodzić się ze stwierdzeniem, że chęć odniesienia sukcesu i rozbuchany indywidualizm sprawiły, iż ludzie z pokolenia, które w dorosłość wchodziło u schyłku lat 90., zaczęli separować się od siebie w jakiś bardziej intensywny sposób. „Dorosłość” jest tu zresztą słowem kluczem. Po prostu dorastaliśmy, tak jak zawsze dorasta młodzież – czy to w 1995 r., czy w epoce opisanej w „Ojcach i dzieciach” Turgieniewa. Pod stwierdzeniem, że lekceważyliśmy doświadczenie starszych i „pochłonięci przeszłością,

nie dostrzegaliśmy wartości wiedzy o sprawach przeżytych i minionych”, mógłby podpisać się przecież nawet i Bazarow. A potem dorobił się. Założyliście własne rodziny, wielu z nas dorobiło się dzieci, wyjechaliście studiować i pracować do innych miast. W tym tkwi cała tajemnica naszej rzekomej wsobności.

Naszej i nie naszej. Być może jesteście bardziej mobilni od rodziców i częściej wyjeżdżacie za granicę. Czy jednak cała edukacyjna wędrówka ludów w czasie transformacji różniła się aż tak bardzo od studenckiego *exodusu* naszych matek i ojców? Przecież i oni masowo opuszczali rodzinne pielesze, rozluźniając międzypokoleniowe więzy, jednocześnie zdobywając często pierwsze tytuły magistrów i inżynierów w rodzinie. Nie wyszli na tym tak źle i społecznie nie zbankrutowali. Koniec końców też tego uniknęliście. Podobnie jak oni, mamy dziś przyjaciół, z którymi się spotykamy i wyjeżdżamy razem na wakacje, jesteście świadkami na ich ślubach i nasze dzieci bawią się wspólnie. Może warto przyznać się do jednego – jest wśród nas więcej osób uzależnionych od internetu, przyspanych do ekranu komputera i smartfona.

### **CZY TO JUŻ META?**

Dorobił się, ale nie zestarzał się, co – jak można wyczytać ze „Znaków szczególnych” – przydarzyło się chyba Paulinie Wilk. Rozmiar kombatantstwa zaserwowany czytelnikowi zdumiewa, jeśli zdamy sobie sprawę, że autorka ma 33 lata. W tym tkwi jedna z głównych słabości tej książki. Nieco za wcześnie na te wspomnienia, które każą patrzeć na dorosłe życie urodzonych w 1980 r. jak na zamknięty rozdział. „Biegliśmy”, pisze Wilk o dorastaniu w cieniu transformacji, by potem podsumować: „Tuż przed trzydziestką dla wielu z nas zaczęło się spowolnienie. Mieliśmy mięśnie wyćwiczone od ciągłego ruchu, doskonałą kondycję wyrobioną dotychczasowym maratonem. Przywykliśmy do nieustannego notowania

postępów, wręcz od niego uzależnieni. I nagle to – zaciągnięty hamulec. Dopiero wtedy nasze głowy – wreszcie wolne od obowiązku analizowania i uczenia się nowości – zaczęły wspominać”.

Troszkę zbyt to osobiste, by stało się pokoleniowym doświadczeniem, opatrzonym zaimkiem „my”. Po pierwsze wciąż wielu z nas biegnie w sztafecie pokoleń, choć – by trzymać się sportowej metafory – każdy z nas wystartował w różnych konkurencjach i różnie rozłożył siły, wyznaczając sobie własne tempo. Nie każdy jak Wilk poszedł na europeistykę, by zostać unijnym urzędnikiem, a potem pracował w korporacji, czyli w ogólnopolskim dzienniku, który został rozmontowany przez nowego właściciela w niespełna rok – niczym samochód-zabawka. (*Notabene* kryzys prasy uderzył we wszystkich dziennikarzy bez względu na wiek, również w tych szczęśliwców, którzy zaczęli pracę dokładnie na złotym początku lat 90.).

To prawda, że posady czasu przełomu, zdobywane na zasadzie „znam angielski, więc zostaję dyrektorem”, były dla nas tylko wspomnieniem, ale wielu z nas wykuwało i nadal wykuwa swoje kariery bez poczucia, że zainwestowany w studia i zdobywanie doświadczenia czas był czasem bezlitosnego „wyścigu szczurów”, który skończył się wielkim rozczarowaniem. „Marzenia mieliśmy wielkie – pisze Wilk – i nie takie znów niedorzeczne. Problem w tym, że się spóźniliśmy. [...] kiedy wbiegliśmy do hali odlotów z naszymi dyplomami i certyfikatami, płynną angielszczyzną i znajomością świata, okazało się, że kursy raket wstrzymano do odwołania”.

Raket być może nie ma i tak naprawdę nigdy za wiele nie było, ale na lot porządnymi samolotami pasażerskimi załapała się całkiem spora grupa moich kolegów i koleżanek. I nadal nimi lata, pracując w mniejszych lub większych firmach, instytucjach i organizacjach trzeciego sektora. W Polsce mimo wszystko ścieżki na szczyt nie były i nie są jeszcze tak wąskie i strome jak w innych krajach

europejskich, gdzie bez skończenia *grandes écoles* i przynależności do *haute bourgeoisie* trudno sobie wyobrazić wielkie polityczne i biznesowe kariery. Wilk jednak wciąż pisze o zawiedzionych aspiracjach i rozczarowaniach: czy to polityką, karierą czy życiem osobistym. Tak jakby pokolenie urodzonych w '80 r. musiało najpierw upaść w wieku 30 lat pod ciężarem własnych niespełnionych marzeń, spędzić dłuższą chwilę w depresyjnej samotności, by oto teraz – w obliczu światowego kryzysu ekonomicznego – dojść do wniosku, że to nie pieniądze powinny nas determinować, że czas na powrót do wspólnotowości i wyzbycie się egoizmu.

Każdy mierzy rzeczywistość swoją miarą. Pytanie, kto jest bardziej reprezentatywny. Wśród moich znajomych kult pieniądza wyznaje jedynie niewielki procent. Ponadto nic nie cementowało nas bardziej niż wspólne studenckie inicjatywy: koła naukowe, seminaria, dyskusje czy późniejsze wspólnie realizowane projekty. Wszystko w okresie wielkiej konsumenckiej smuty, o której pisze Wilk. O żadnym schyłku i upadku wartości nie może być więc mowy. Dopiero krzepniemy i zdobywamy się na własny głos, co w pewnym sensie jest naturalną kolejną rzeczą. Otwieramy nowy rozdział naszych biografii, zamykając wcześniejszy, ale korzystając z zawartego w nim doświadczenia.

### **JEDNOSTKA I WSPÓLNOTA, CZYLI FAŁSZYWA ALTERNATYWA**

Co z tego wszystkiego wynika? Dla „Znaków szczególnych” niezbyt pochlebna recenzja, bo choć autorce należą się brawa za próbę podjęcia ważnego tematu, ostateczny efekt jest więcej niż niezadowolający. Być może cała książka Wilk byłaby znacznie ciekawsza, a jej uwagi znacznie bardziej wiarygodne, gdyby autorka nie próbowała połączyć wspomnień z ni to esejem, ni to socjologiczną diagnozą. Na tę ostatnią porządną analiz jest w „Znakach szczególnych”

zdecydowanie za mało. W książce Wilk królują raczej hasła i slogany, brzmiące niczym zaklęcia lub jeszcze lepiej – nagłówki gazet: „Polska współczesna jest naszym wspólnym rozczarowaniem”, „zakłęła nas miniona chwila”, „jesteśmy starzy i nowi zarazem”. Przykłady można by mnożyć.

Z drugiej strony na wspomnienia – jak już pisałem – jest nieco za wcześnie, tym bardziej że całość, pomimo zapowiadanego przez autorkę w ostatnim rozdziale „wzięcia sprawy w swoje ręce”, brzmi trochę jak chateaubriandowskie „Pamiętniki zza grobu”.

Osobiste przeżycia Wilk byłyby za to świetnym materiałem na prozę, w której ożyłyby być może, dość płasko zarysowane postacie rodziców, a powieściowa fabuła pozwoliłaby czytelnikowi samodzielnie odnaleźć to, co wspólne w pokoleniowym doświadczeniu transformacji.

Lektura „Znaków szczególnych” przynosi jednak coś więcej niż poczucie, że ktoś dokonał nadużycia i ekstrapolował własne doświadczenie na doświadczenie całego pokolenia. Każe bowiem zadać sobie pytanie, co tak naprawdę oznaczają słowa wolność, indywidualizm i jednostka? Dziś coraz częściej stawia się je pod ścianą, przeciwstawiając im inną triadę: równość, solidarność i wspólnota. Czy nie mamy jednak do czynienia z fałszywą antynomią? Czy ci, którzy tak wyraźnie kreślą ją przed nami nie ułatwiają sobie nadmiernie zadania twierdząc, że jedyny język, za pomocą którego możemy opisać nasze doświadczenie transformacji, jest czarno-biały?

Przypomina mi się w tym miejscu opowieść Zbigniewa Pełczyńskiego o jego studenckich latach na Uniwersytecie Oksfordzkim. Kształcenie na tym jednym z najstarszych europejskich uniwersytetów opiera się przede wszystkim na indywidualnym kontakcie studenta z profesorem. Jest to model, w którym nacisk położony zostaje na jednostkę, a nie na zbiorowość. Oxford nie składa się

jednak z akademickich „wolnych elektronów”. Często zapomina się o innym filarze kształcenia, nie mniej ważnym według słów Pełczyńskiego: niezliczonych studenckich stowarzyszeniach. Studia na Oxfordzie, a więc coś, co możemy nazwać kwintesencją liberalnej edukacji, okazują się wielką szkołą zbiorowego działania i jednostkowej odpowiedzialności za wspólnotę.

Czy ten obraz nie jest w gruncie rzeczy bliższy temu, co przydarzyło się pokoleniu dorastającemu w cieniu przemian po 1989 r.? Na pytanie to trudno znaleźć jednoznaczną odpowiedź. Jedno jednak jest pewne: nawet jeśli my, dzisiejsi trzydziestolatkowie marzyliśmy o tym, by szybko zaznać indywidualnej wolności i sukcesu, nigdy nie chcieliśmy działać sami.

**PIOTR KIEŻUN**

historyk idei, szef działu recenzji książkowych w „Kulturze Liberalnej”. Zajmuje się związkami literatury i polityki w XX w.

## Koziółki ofiarne

**Nie odpowiadają tylko za gradobicie, trzęsienie ziemi i koklusz. Takie wrażenie można odnieść czytając kolejne ataki wyprowadzane 25 lat po transformacji pod adresem liberałów oraz liberalizmu i to zarówno z lewej, jak i prawej strony sceny politycznej. Poszukiwanie kozła ofiarnego w żaden sposób nie zbliża nas jednak do rozwiązania stojących przed polskim społeczeństwem problemów.**

O tym, że to właśnie liberałowie wprowadzili do Polski kapitalizm w jego drapieżnej formie wraz ze wszystkimi patologiami słyszemy od dawna. Reformując niewydolną gospodarkę PRL wylali dziecko z kąpielą. Zamiast udroźnić system gospodarczy stopniowymi reformami, cięli do kości, nie oglądając się na koszty społeczne wprowadzanych reform. W rezultacie nie tylko trwale zepchnęli setki tysięcy ludzi – chociażby pracowników byłych PGR-ów – poza społeczny margines, ale obudzili w Polakach patologiczny indywidualizm. To między innymi na skutek liberalnych reform poziom zaufania społecznego w Polsce jest tak niski, a osoby

korzystające w jakikolwiek sposób z pomocy państwowej uznaje się za narośl na zdrowej tkance społeczeństwa. Nie radzisz sobie, Twój problem – oto reakcja, z jaką spotykają się poszukujący społecznej sprawiedliwości rodacy. Kto jest temu winny? „To spadek po liberalnej pedagogice wczesnych lat 90. To w dużej mierze wasze dzieło”, w marcu 2014 roku pisał Adam Leszczyński na łamach „Gazety Wyborczej”, zwracając się do polskich liberałów.

Mamy więc jasno zdefiniowany problem, mamy winnego, ale czy dzięki temu jesteśmy bliżej jakiegokolwiek rozwiązania? Oczywiście że nie, bo powyższa diagnoza nie odpowiada złożoności problemu, a i winnych szuka nie tam gdzie trzeba.

Po pierwsze, warto pamiętać, że – parafrazując Stefana Kisielewskiego – kapitalizmu w Polsce nie wprowadzano, „trzymając ludzi za mordę”. Owszem, instytucje zachodnie stawiały Polsce wymagania i dawały wytyczne, ale na początku lat 90. zdecydowana większość elit z różnych stron sceny politycznej chętnie się im poddawała. Także znaczna część społeczeństwa utożsamiała kapitalizm z Zachodem, a Zachód z dobrobytem, o każdej z tych trzech rzeczy mając pojęcie cokolwiek mgliste.

O subtelnościach w rodzaju rozróżnienia na rozmaite typy kapitalizmu – skandynawski, amerykański, chiński – nie było nawet mowy. I konia z rzędem temu, kto w tamtym okresie potrafiłby zjednoczyć rozbitą na kilkadziesiąt partyjek opozycję pod hasłami socjaldemokratycznymi. Ludzie poszukujący powrotu do przedwojennych lub zachodnich ideałów lewicowych albo – jak Jan Józef Lipski czy Józef Pinior – ponosili spektakularną klęskę, albo – jak Jacek Kuroń – szli na kompromisy, których następnie żalowali. Dziś za ten stan rzeczy coraz liczniejsi komentatorzy z lewej i prawej strony obwiniają wymaginowanych liberałów. Wymaginowanych, bo pamiętajmy, że w tamtym czasie istniała tylko jedna poważna partia z przymiotnikiem „liberalny” w nazwie.

Był nią Kongres Liberalno-Demokratyczny, który w pierwszych wolnych wyborach w 1991 r. zdobył niecałe 8 procent głosów, a w kolejnych w ogóle nie wszedł do parlamentu!

Po drugie, trudno zrozumieć, jakim cudem owa wąska grupka liberalów zdołała całkowicie przeorać polskie społeczeństwo, wprowadzając wolnorynkowe reformy wbrew nastrojom większości. Jeśli faktycznie zyskali takie wpływy, dlaczego nie udało im się wprowadzić liberalnych zmian w sferze obyczajowej i w relacjach państwo-Kościół, choć – mało kto o tym pamięta – tyle miejsca poświęcali im w swoich tekstach z lat 80. tzw. gdańscy liberalowie z Donaldem Tuskiem na czele? Odpowiedź jest prosta: zmiany rynkowe popierała większa część polskich elit intelektualnych i politycznych, a także znaczna część społeczeństwa – zmian obyczajowych już nie.

Do tej pory przeciętny Polak uważa, że państwo jest mu wrogiem i że najlepiej poradziłby sobie sam. Tak jest do momentu, kiedy jako drobny przedsiębiorca musi negocjować z wielkim supermarketem, kiedy na skutek obfitych plonów ceny za jego produkty rolne spadają lub kiedy oszukany przez biuro turystyczne znajdzie się nagle bez pieniędzy daleko poza granicami kraju. Te sprzeczne oczekiwania – leseferyzmu i interwencjonizmu – doskonale koegzystują w głowach wielu rodaków, a kształtowały się przez całe pokolenia w odpowiedzi na rozmaite patologie polskiego państwa, nie tylko kilka początkowych lat transformacji. I nie chodzi tu bynajmniej o przerzucanie winy na społeczeństwo, ale uznanie pewnego faktu, który powinniśmy powoli zmieniać.

Po trzecie, krytykując polską transformację nie zapominajmy, że jej pierwsze lata to nie był zmasowany najazd światowych koncernów na nasze fabryki. Jeszcze na początku lat 90., w czasie „wojny na górze”, Henry Kissinger po wizycie w Polsce ostrzegał amerykańskich inwestorów przed lokowaniem pieniędzy nad

Wisłą, uznając, że sytuacja jest nazbyt niestabilna. Polskie ulice w latach 90. pełne były nie nowoczesnych biurowców i luksusowych limuzyn, ale rozstawianych na dziko „szczękoblaszaków”, w których setki tysięcy ciułaczy handlowało czym mogło. Dziś prząsność tamtego okresu budzi śmiech, ale pamiętajmy, że wielu politologów i socjologów – jak chociażby Jerzy Szacki – właśnie w tych pierwszych przedsiębiorcach upatrywało siły napędzającej zmiany polskiego społeczeństwa.

Także dla wielu owych „szczękoblaszakowców” początki wolnego rynku były doświadczeniem formującym i to w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Jan Krzysztof Bielecki, w latach 80. współwłaściciel firmy transportowej, tak opisuje przemianę, jaka dokonała się w jego współpracowniku po założeniu firmy: „Kiedy wszystko było jego, własne, stał się zupełnie innym człowiekiem” – własność przywracała poczucie godności, dawała poczucie sprawczości i kontroli nad własnym losem. Znow – można się z tego śmiać, ale doświadczenia całej rzeszy Polaków to nie wymaże.

Po czwarte, krytycy polskich liberałów powinni zwrócić uwagę na przemianę, jaka od lat wśród ich oponentów zachodzi. Na łamach „Kultury Liberalnej” rozmawialiśmy z wieloma liberałami i w każdej z rozmów powracała teza o konieczności budowania silnego i przewidywalnego państwa, bo tylko ono może być gwarantem wolności. „W swoich poglądach wychodzę z bardzo prostego założenia stwierdzającego, że liberalizm udał się tam, gdzie było silne państwo”, mówił w jednej z takich rozmów Paweł Śpiewak („KL” nr 124). „To nieprawda, że mniej państwa to zawsze więcej liberalizmu – budowanie alternatywy pomiędzy tymi dwoma pojęciami uważam za fałszywe. Rolę państwa możemy ograniczać dopiero wtedy, kiedy jego podstawy czynią je silnym, stabilnym i zdolnym do egzekwowania przyjętych reguł współżycia”.

Nawet tacy liberałowie jak Jan Krzysztof Bielecki, którzy za ikonę liberalizmu wciąż uznają Margaret Thatcher, zamiast jej słynnych słów o „nieistnieniu społeczeństwa” wolą dziś przywołać inny cytat, mówiący o potrzebie ustanowienia „szanowanego sędziego”, bez którego wymiana rynkowa nie może przebiegać sprawnie. Tym sędzią jest nie kto inny, jak właśnie sprawne państwo. Ten sam Bielecki przyznał w rozmowie z „Kulturą Liberalną” („KL” nr 127), że wyznawane przez niektórych radykalnych liberałów ekonomicznych przekonanie, iż kapitał nie ma narodowości – wobec czego wszelkie próby ochrony lokalnych interesów są zbędne – jest horrendalnym nieporozumieniem.

Wolny rynek świetnie się miewa, ale wyłącznie w teorii – po kryzysie finansowym z roku 2008 chyba nikt nie ma już co do tego wątpliwości. Życie gospodarcze w XXI wieku zawsze toczy się w jakimś otoczeniu instytucjonalno-prawnym, a zarówno instytucje, jak i przepisy prawa ktoś musi zaprojektować, zatwierdzić i wprowadzić w życie. To, jaki kształt ostatecznie przyjmą zależy od nieustających targów politycznych, opinii społecznej, a także wysiłków lobbystów, którzy nie bez przyczyny utrzymują swoich przedstawicieli w najważniejszych stolicach świata.

Wreszcie, po piąte, krytycy polskich liberałów zarzucają im, że niekiedy całą bogatą myśl liberalną sprowadzają do wymiaru ekonomicznego. Pełna zgoda. Zwracaliśmy już na ten problem uwagę wielokrotnie, chociażby w rozmowach z Andrzejem Szahajem („KL” nr 140), Andrzejem Walickim („KL” nr 254) czy Marcinem Królem („KL” nr 260). Liberalizm to znacznie więcej niż wolność gospodarcza. Ale krytykując sprowadzenie liberalizmu do wymiaru ekonomicznego, przedstawiciele rodzimej lewicy i prawicy koniec końców robią dokładnie to samo. Tymczasem w Polsce potrzebna jest rozbudowana myśl liberalna, która w centrum zainteresowania stawia wolność rozumianą nie jako całkowity brak ograniczeń,

ale możliwość realizacji jednostkowego potencjału. Czasami dla osiągnięcia tego celu potrzebna jest pomoc państwa – jak w przypadku ludzi, którzy ze względu na miejsce urodzenia lub majątek mają mniejsze szanse niż inni. W innych wypadkach – na przykład wyboru modelu życia rodzinnego – państwo powinno pozostawiać ludziom wolną rękę.

Tradycja tak pojmowanego, kompleksowego liberalizmu nigdy nie była w Polsce silna, a wolność wielu z nas wciąż rozumie po prostu jako przyzwolenie na robienie tego, co się komu podoba. Zamiast więc bić się w cudze piersi, oskarżając wzajemnie, kto ponosi większe winy za błędy polskiej transformacji, warto takie liberalne państwo po prostu wspólnie budować.

**ŁUKASZ PAWŁOWSKI**

z wykształcenia psycholog i socjolog, sekretarz redakcji „Kultury Liberalnej”. Pisze o polskim i amerykańskim życiu politycznym.

## **Pamięć przemiany czy przemiana pamięci?**

**Zainteresowanie pamięcią społeczną narasta w momentach szczególnych, okresach kryzysu i przełomu. Kolejne „okrągłe” rocznice dają możliwość reinterpretacji przeszłości. Czasem to tylko zabieg kosmetyczny, szybkie i bezbolesne retusze. Czasem jednak zmiany wymagają większych nakładów pracy, czasu i finansów. Jak mawiał George Orwell, kto rządzi przeszłością, w tego rękach jest przyszłość – kto rządzi teraźniejszością, w tego rękach jest przeszłość.**

Mirosław Hermaszewski, pierwszy Polak w kosmosie, w 1978 r. na pokład statku „Sojuz 30” wziąć miał ze sobą tylko rzeczy najbardziej potrzebne: flagę narodową, godło państwowe, proporce PZPR, Frontu Jedności Narodu, Ludowego Wojska Polskiego, Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej, ZBoWiD-u Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, Huty Katowice, znaczki VI i VII zjazdu PZPR, fotografie Edwarda Gierka i Leonida Breżniewa, ziemię z pól Grunwaldu, Lenino i Warszawy, miniaturowe wydania „Manifestu komunistycznego”, Manifestu PKWN,

Konstytucji PRL, „Pana Tadeusza”, faksymile pierwszej księgi „O obrotach ciał niebieskich”, rysunek systemu słonecznego Kopernika, medale instytucji biorących udział w programie naukowo-badawczym lotu kosmicznego, okolicznościowe znaczki pocztowe i koperty, plakietkę Centrum Zdrowia Dziecka, mapę fizyczną Polski i herby 49 województw.

Lista ta dziś wywoływać może uśmiech i politowanie. Trzy i pół dekady temu jej ustalenie było jednak zapadającą w atmosferze powagi decyzją o znaczeniu strategicznym. Symbole towarzyszące szczególnie celebrowanemu wydarzeniu stanowić musiały spójny zestaw, odzwierciedlający priorytety narodowe. Podobne dylematy towarzyszą współczesnym organizatorom obchodów rocznicowych. O kim pamiętać? Które wydarzenie przemilczeć? Kto jest godny miana powiernika tradycji? I jak całe to przedstawienie zainscenizować?

### **ZBIOROWA TERAPIA NARODOWA**

Celebrowanie przeszłości ma coś w sobie z karnawalu i żałoby. Według antropologów, pojęcia te niewiele różnią się od siebie. W obu przypadkach – szczególnych w życiu wspólnoty – odwrócony zostaje porządek społeczny. Czasoprzestrzeń się otwiera, granica między światem żywych i zmarłych znika. Czas starzeje się, rytualnie umiera, powraca – a wraz z nim odnawia się refleksja nad tym, co minęło. W karnawale to smutek stanowi tabu, a podczas żałoby – zabawa. Obchody kolejnych „okrągłych rocznic” dowodzą zespolenia komizmu i tragizmu, słowem – groteski i tragifarsy dominującej w karnawale polskiej pamięci.

W realiach płynnej nowoczesności konsumentów traktować należy jak chore dzieci. Trzeba zapewniać im opiekę i rozrywkę, chronić przed złem świata, a najlepiej zakryć ich przed jego widokiem. Nasycić pozytywnymi symbolami i przekonać o rychłym

zbawieniu, a przynajmniej – o samorealizacji. W roku 2014 mieliśmy okazję przyjrzeć się temu zjawisku na przykładzie dwóch okrągłych rocznic jakże odmiennych wydarzeń – powstania warszawskiego i wyborów czerwcowych.

### **ZESTAW MAŁEGO POWSTAŃCA**

Od kilku lat mit powstania warszawskiego jest konsekwentnie opakowywany w szatę tandetną – zabawkową (z perspektywy dzieci), tudzież gadzeciarską (w mniemaniu dorosłych). Wystarczy, by z kieszeni rodziców wysypało się kilkadziesiąt złotych i można śmiało rozpocząć świętowanie kolejnej rocznicy. Mali Polacy mają już możliwość zmontowania jubileuszowej minibarykady oraz własnych ruin z plastikowym płomieniem buchającym z okien. Resztki kamienicy mija Volkswagen Kübelwagen – miłośnicy militariów twierdzą, że o zbyt szerokim nadwoziu. Za jego kierownicą zasiada hitlerowiec ze schmeisserem – o zgrozo, Niemiec się uśmiecha! Podobnie jak drugi nazista, pędzący na motorze nieopodal szanca. Wydaje się, że powstaniec czający się w ruinach ma nieco inny wyraz twarzy, bardziej melancholijny. Ma okulary, zapewne to przedstawiciel stołecznej inteligencji. Ale... on też się chyba uśmiecha! Trudno orzec – ludzik ma stylowy, kilkudniowy zarost. Z pewnością od ucha do ucha śmieje się za to obrońca barykady. Po prostu – zabawa w wojnę na całego. Przynajmniej dla cztero- i pięciolatków, jak głoszą reklamy klocków.

Nieco starsza młodzież 1 sierpnia może także rozkosznie zabijać nazistów w grze Enemy Front. To klasyczna komputerowa strzelanka. Główny bohater – Robert Hawkins jest amerykańskim korespondentem wojennym (zachodnia prasa, jak widać, zawsze nam sprzyja!). Przemoc, zbrodnie, makabryczne jatki na ulicach Śródmieścia. Gra adresowana do 18-latków. Włączając komputer cicho zanućmy zakazane piosenki – koniecznie w aranżacji

hiphopowo-metalowej. A strojem godnym gry i śpiewnika dołączanego do tabloidów jest odzież patriotyczna – np. powstańczy t-shirt z dziurą po kuli i zaschniętą krwią na piersi. Zaopatrzenie przed wyruszeniem w wirtualny bój można łatwo i stosunkowo niedrogo uzupełnić na aukcjach internetowych dla grup rekonstrukcyjnych, uczestników inscenizacji i fanów gier miejskich.

Na naszych oczach tragedia stała się farsą. Pamięć o gehennie miasta została zepchnięta w zbiorowej wyobraźni przez artefakty kultury konsumpcyjnej – zabawki, gry komputerowe, pseudohollywoodzkie kino. Co ciekawe podobny procesom ulegają obchody rocznicy wyborów czerwcowych – urastających do rangi drugiego, po powstaniu właśnie, najważniejszego wydarzenia ostatnich kilku dekad.

### **TEATRALIZACJA PRZESZŁOŚCI**

Częściowo wolne wybory parlamentarne z 1989 roku w okresie III RP stały się obiektem mityzacji – zyskały znamiona historycznej kotwicy mocującej świadomość wspólnoty. Mit założycielski nowego ustroju ubrany został w 2014 roku w szatę bogatą, a miejscami wręcz odpustową. Centrum kultu pamięci znajdowało się w Warszawie. Między trzecim a piątym czerwca politycy rażno poruszali się wzdłuż Traktu Królewskiego, kursując między Sejmem, Pałacem Namiestnikowskim, Zamkiem Królewskim a Archikatedrą. Członkowie Zgromadzenia Narodowego zapomnieli na chwilę o partyjnych swarach, wypełniając salę obrad Sejmu. Prezydent odznaczał bohaterów tworzących transformacyjny panteon, sadził też dęby wolności. Zdążył nawet zmienić nazwę arterii komunikacyjnej łączącej Polskę z Zachodem na – *nomen omen* – Autostradę Wolności.

W świątyniach odprawiono msze za wolność, zapach kadzidel unosił się po Starym Mieście. Na okolicznych skwerach młodzież

uczestniczyła w zabawach ożywiających ducha transformacji. Można było nawet – jak głosiła nazwa inicjatywy Domu Spotkań z Historią – samemu „wyłączyć system”. Wszak Polak – nawet młody – potrafi! W zabawie tej, łączącej improwizowany teatr, grę strategiczną i łamigłówkę dzieci poznawały miejsca pamięci związane z końcem PRL i początkiem III RP. Do tego rysowanie komiksów, wystawy, instalacje wideo, słuchowiska, filmy, spoty reklamowe. Wszystko zapisane oficjalną czcionką wolności – solidarycą – i opatrzone podobizną Gary’ego Coopera. Po prostu – zabawa w obalanie komunizmu na całego.

Starsi także na ubogi grafik świąteczny narzekać nie mogli. W 25 największych miastach Polski wyrosły domeny symboliczne – Urny Wolności. Do pojemników można było wrzucać anonimowe życzenia, komentarze. Przedziwna forma pisania suplik do władz najwyższych nie zyskała jednak wielkiej popularności. Z kolei miłośnicy joggingu walczyli o laury w maratonach, a kolekcjonerzy stawali w szranki o zdobycie pięciopięciowej okolicznościowej monety „25 lat wolności”. Wśród wielu rzeczy, które można było za nią kupić znalazły się m.in. kolekcjonerskiej butelki... coca-coli.

Czy taki właśnie przekaz wartości należy kierować do Polaków? Jak ich rocznicowo nawrócić, omamić, kupić? Cóż, to ostatnie przynajmniej wydaje się jasne: kupcząc entuzjazmem, niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z tragedią powstania czy wciąż budzącą poważne spory przemianą systemową. Na naszych oczach dramatyczne w skutkach decyzje militarne i trudne do oceny procesy polityczno-gospodarczej transformacji stały się towarem kultury masowej, sprzedawanym za pół ceny na rocznicowej wyprzedaży.

### **ILUZJE WYJĄTKOWOŚCI**

Trwa walka o pamięć społeczną Polaków. Toczy ją głównie lewica z prawicą o różnych odcieniach. Stawką jest uzyskanie statusu

bohatera tudzież męczennika oraz przywileju do nazwania oponenta zdrajcą interesu narodowego lub po prostu – przegranym. Ideologiczne podziały nie znajdują jednak odzwierciedlenia w środkach prowadzenia polityki historycznej. Zdrowy rozsądek celebrowania rocznic przygnieciony zostaje przez brzemień karnawału i żałoby. Przeciwnicy uciekają się do podobnego mechanizmu popularyzacji rocznic – poprzez ich skrajne spłylenie, utowarowienie, przy jednoczesnym dyskredytowaniu konkurencyjnego kalendarza świąt. To droga donikąd. Infantylny patriotyzm wobec krytyki przeciwników jest bezbronny jak dziecko.

Wypracowanie liberalnego modelu pamięci o przeszłości, który nie będzie banalny, nie jest zadaniem prostym. Nie można jednak emocji politycznych pozostawiać radykałom wprowadzającym szablonu łatwych, plemiennych podziałów do sfery publicznej. Emocjonalny szantaż pozbawia nas jakiegokolwiek szansy na spokojny namysł nad przeszłością naszej wolności. Znika wiedza, zostają gadżety.

A zagrożenia widać gołym okiem. To kicz staje się narzędziem walki politycznej, rozmiękczając desygnaty sukcesu i porażki. W natłoku popkulturowego jazgotu łatwo dokonać niezamierzonej profanacji lub sakralizacji wydarzeń 1944 i 1989 r.

I aż się ciśnie na usta pytanie: czy za jakiś czas nasze dzieci i wnukowie nie spojrzą na festiwal pamięci z 2014 r. jak na listę kosmicznych gadżetów Hermaszewskiego – z ironicznym uśmiechem?

**DR BŁAŻEJ POPLAWSKI**

historyk i socjolog, członek redakcji „Kultury Liberalnej”.  
Pisze o peryferiach polityki i gospodarki światowej.

## **Rozróżba i świętość. Lewicy i prawicy problemy z Okrągłym Stołem**

**Spory o Okrągły Stół są zarazem sporami o naszą współczesną demokrację. Tomasz Sawczuk komentuje debatę, która odbyła się w Pałacu Prezydenckim z okazji 25-lecia Okrągłego Stołu.**

6 lutego 2014r. w Pałacu Prezydenckim odbyła się debata z okazji 25-lecia rozpoczęcia obrad Okrągłego Stołu. Wśród jej uczestników znaleźli się reprezentanci młodych środowisk ideowych. W tej roli wystąpili Maciej Gdula z „Krytyki Politycznej”, Michał Łuczewski z „44” oraz Karolina Wigura z „Kultury Liberalnej”. Znacząco różnili się co do oceny tamtych wydarzeń, a liczne wygłoszone podczas debaty stwierdzenia wymagają komentarza. Nie chodzi przy tym tylko o kwestie historyczne. Jak się wydaje, spory o Okrągły Stół są zarazem sporami o naszą współczesną demokrację.

### **WYWRACANIE STOŁU**

Okrągły Stół można krytykować z różnych, nieraz zaskakujących pozycji. I tak: Maciej Gdula stwierdził, że być może w ogóle

przeceniamy znaczenie rozmowy jako metody politycznej. Dlaczego ma być ona metodą uprzywilejowaną? Może czasem lepiej najpierw się porządnie pobić, a dopiero potem podyskutować? Gdula uważa zarazem Okrągły Stół za nieprzydatny model polityczny, jako przykład kompromisu elit, podczas gdy demokratyczna polityka powinna uwzględniać w jak największym stopniu wolę każdego. Ponadto porozumienie to ustanowiło radykalnie wolnorynkowy model transformacji ustrojowej, który zwiększył nierówności i pogorszył szanse życiowe znacznej części obywateli.

Opinia Gduli jest ahistoryczna. Po pierwsze, większość Polaków chciała zmiany systemu, co podważa tezę o kompromisie elit ponad głowami obywateli. Zresztą, przedstawiciele władzy nigdy nie podjęliby rozmów z opozycją, gdyby nie stały za nią szacunek i wsparcie przynajmniej pewnej części społeczeństwa. Po drugie, w czasie Okrągłego Stołu nie było wiadomo, że Leszek Balcerowicz zostanie ministrem finansów, a nawet – że Tadeusz Mazowiecki zostanie premierem! Już przed początkiem dyskusji przeprowadzono zresztą pewne wolnorynkowe reformy, mające – według części historyków – ratować pozycję partii w oczach społeczeństwa. W tym kontekście bardziej przekonująca wydaje się teza Roberta Krasowskiego z książki „Po południu. Upadek elit solidarnościowych po zdobyciu władzy”, że kształt transformacji był wymuszony przez Zachód, instytucje międzynarodowe, a zatem warunki zewnętrzne.

Gdula umniejsza jednak wagę warunków historycznych. Zapomina, że przełom lat 80. i 90. to okres fascynacji wolnym rynkiem i Stanami Zjednoczonymi z prezydentem Reaganem na czele. Zachód triumfował, a amerykański model kapitalizmu powszechnie utożsamiano z wolnością, dobrobytem i postępem. O poszukiwaniu „trzeciej drogi” czy nowoczesnej socjaldemokracji nie było wówczas mowy. Lewicowe ideały większość

Polaków utożsamiała z PRL i uznawała za skompromitowane. Urynkowienie gospodarki było zresztą lekarstwem na ówczesne problemy gospodarcze Polski. Dziś coraz lepiej zdajemy sobie sprawę ze społecznych kosztów polskiej transformacji – przed ćwierćwieczem trudno było je jednak dokładnie przewidzieć. A ignorowanie ówczesnego stanu świadomości jest błędem. Błędem tym bardziej zaskakującym, że lewica na ogół nie ma problemu z historycznym rozumieniem i usprawiedliwianiem ideowych fascynacji różnymi odmianami marksizmu – choćby wyjaśniając postawy przedstawicieli części polskiej inteligencji. Wówczas kontekst historyczny odgrywa znaczącą rolę. W 1989 r. dziwnym trafem przestaje mieć znaczenie. Jest też co najmniej wątpliwe, czy zrealizowany w Polsce model transformacji był rzeczywiście radykalnie wolnorynkowy. Zarówno prywatyzacja czy ograniczanie świadczeń socjalnych, jak i inne głębokie zmiany nie są szokujące na tle podobnych regulacji w innych państwach zachodnich.

Co więcej, oba przywołane poglądy Macieja Gduli – że czasem jatka jest lepsza od dyskusji, oraz że polityka powinna być bardziej demokratyczna niż przy Okrągłym Stole – kryją w sobie sprzeczne dążenia. Gdula jest autorem przedmowy do książki Chantal Mouffe „Polityczność”, w której belgijska filozofka twierdzi śladem Carla Schmitta, że polityczność w swoim najgłębszym sensie opiera się na konflikcie. W praktyce polityka polega na motywowanej przez zbiorowe namiętności walce konkurencyjnych projektów światopoglądowych.

Jak pogodzić takie podejście z pomysłem radykalnie demokratycznej polityki, w której to wszyscy obywatele mają być zaangażowani w proces polityczny? Przecież należyte wysłuchanie wszystkich wymaga ostatecznie właśnie otwartości i zgody, nie zaś wyłącznie podsycania konfliktu. Jak zatem promować ideę

opartą na szacunku wobec dyskusji, a jednocześnie z entuzjazmem zachęcać, by taką debatę poprzedziła, jak to ujął Maciej Gdula, „porządna rozróżba”?

Protesty, strajki i manifestacje to dopuszczalne narzędzia polityczne, mieszczące się w granicach demokracji. Jednak decyzja osiągnięta przemocą ma się nijak do polityki demokratycznej i ma się też nijak do woli ludu. Polityka taka przypomina raczej dręczenie chwilowych przegranych przez chwilowych zwycięzców, a jej gloryfikacja jest niczym więcej jak niebezpiecznym uszlachetnianiem barbarzyństwa.

### **KŁOPOTY Z DEMOKRACJĄ**

Podobny problem z demokracją ma ideowa prawica. Michał Łuczewski stwierdził w Pałacu Prezydenckim, że Okrągły Stół był początkiem nowoczesności w Polsce. W konsekwencji prowadzenia rozmów z władzą przez opozycję, źli przestali być złymi, zaś dobrzy stracili swą szlachetność. Od tej pory podział na dobro i zło przestał być jasny. Polityka straciła swój wymiar moralny. Ostateczny cel historii ustąpił miejsca niekończącym się politycznym targom, nie zmierzającym do niczego konkretnego.

Łuczewski ma rację. Z perspektywy czasu widać, że Okrągły Stół otworzył nową epokę w polskiej polityce. Erę kultury demokratycznej, która zastąpiła autorytarny model polityczny, i która wymusza przyjęcie nowych standardów politycznych i moralnych. Dlatego też terminologia, którą stosuje Łuczewski, wydaje się nieadekwatna. W demokracji pytania o absolutne zło i absolutne dobro okazują się drugorzędne. Demokratyczna polityka wyprzedza moralność, starając się o porozumienie skonfliktowanych stron. Czy owa kultura demokratyczna pozbawiona jest zatem wartości? W żadnym razie! O ile autorytarna logika może skutkować rządami złych nad dobrymi lub dobrych nad

złymi – a przynajmniej tych, którzy ogłaszają się dobrymi nad tymi, którzy są rozmaicie stygmatyzowani – kultura demokratyczna wnosi do życia wspólnoty trwałe standardy i wartości. „Kultura demokratyczna” oznacza przy tym tyle, co świat demokracji liberalnej, liberalizm ściśle związany z demokracją. Demokracja nieoliberalna w dalszym ciągu poruszać się musi wewnątrz logiki autorytarnej.

Czym są owe standardy i wartości? Podczas debaty w Pałacu Prezydenckim mówiła o tym Karolina Wigura – to tak podstawowe kwestie, jak poszanowanie praw jednostkowych, rządy prawa czy działanie instytucji sprawiedliwości proceduralnej. Częściowo mogą być one realizowane i w ramach modelu autorytarnej. Ale zasadniczym standardem odróżniającym kulturę demokratyczną od polityki autorytarnej jest samopowściągnięcie stron sporu. Ostateczne zwycięstwo którejkolwiek ze stron konfliktu, połączone z całkowitym pogwałceniem przeciwnika, to porażka systemu demokratycznego. Kultura demokratyczna zawsze przedkłada rozmowę nad przemoc, reformę nad rewolucję i uznanie nad poniżenie.

Taka polityka może wydawać się nudna. Może nie porywać ludzi ani nie stawiać wielkich celów moralnych. Jest to realny problem, przez który liberalnej demokracji stale zagraża populizm. Ale nie musi tak być. Nie będzie tak, gdy zauważymy, że codzienne przełamywanie wzajemnych konfliktów i uprzedzeń, współpraca w imię lepszej przyszłości to nie cele błahe, ani mało ciekawe. W istocie trudno o coś bardziej doniosłego! W wyjątkowych chwilach, gdy taka współpraca przybiera formy symboliczne – jak w przypadku Okrągłego Stołu – nie mamy do czynienia z oportunistami, knowaniami elit czy zdradą, lecz z powszednią poezją sprawiedliwości w uroczystej szacie. Wbrew twierdzeniom reprezentantów polskiej lewicy i prawicy, bieżąca

praktyka polityczna nie potrzebuje dalszego uświęcenia – ani krwią, ani rycerskością, ani niczym innym.

**TOMASZ SAWCZUK**

komentator polityczny, członek redakcji „Kultury Liberalnej”. Absolwent prawa, doktorant w Instytucie Filozofii UW.

## **Energia, ekologia i wolność. O niedokonanej rewolucji liberalnej w energetyce**

**Energetyczne sny o potędze miał już Edward Gierek. W czasach generała Jaruzelskiego rozpoczęto budowę elektrowni jądrowej w Żarnowcu. Od niedawna znów słyszymy o powrocie do pomysłów z czasów Polski Ludowej. Tymczasem wokół nas zachodzą zupełnie nowe zjawiska – zmiany klimatu i postęp technologiczny wymuszają gruntowne przewartościowanie naszego sposobu myślenia o produkcji energii. Ćwierćwiecze demokratycznej Polski to dobry moment na refleksję nad transformacją w tym wymiarze.**

Nadeszła nowa epoka. W Europie powszechnie mówi się o nieuniknionym wyczerpaniu węgla i ropy, na których zbudowano współczesną gospodarkę światową. Naukowcy przypominają o roli człowieka w postępujących zmianach klimatu. Te dwa zjawiska wymagają reakcji i nie może być ona jedynie krótkoterminowym nagięciem starych zasad. Stoimy przed koniecznością przebudowy energetyki i właściwie całej gospodarki – faktycznej rewolucji. Część członków Unii Europejskiej już podjęła wyzwanie.

Spójrzmy na Niemcy: jeszcze pod rządami koalicji SPD i Zielonych (1998–2005) przyjęto plan stopniowego przemeblowania sektora energetycznego, „wychodzenia z atomu” i zwiększania udziału odnawialnych źródeł energii (OZE) w produkcji prądu. Katastrofa w japońskiej elektrowni atomowej w Fukushima przyspieszyła ten proces. Po ponad dekadzie od jego zainicjowania, niemiecka transformacja energetyczna, zwana *Energiewende*, wydaje się nie tylko wykonalna, lecz – przede wszystkim – niezwykle inspirująca. Niemcy uczynili z energetycznej transformacji projekt na miarę wysłania człowieka na Księżyc.

### **OBŁĘŻONA TWIERDZA: POLSKA**

Tymczasem nad Wisłą wszystkie te decyzje i działania przedstawiane są albo w krzywym zwierciadle, albo w kategoriach zagrożenia polskich interesów narodowych i „inwazji” wrogich pomysłów – zielonego *blitzkriegu* dokonywanego przez cynicznych agentów obcych państw i dobrodusznym eko-szańców. Istotnie, w wielu krajach europejskich ta „nowa rewolucja przemysłowa”, jaką jest transformacja sektora energetycznego, wywołuje strach. W Polsce jednak owo zagrożenie nowym i nieznanym – uruchamia niezdrowe mechanizmy obronne. Transformacja energetyczna jest więc odrzucana z góry jako nierozważny, wręcz szalony plan rzeźkomej dezindustrializacji a nawet ekonomicznego samobójstwa.

Lobby energetyczne tylko czeka na potknięcie Niemiec. Nic dziwnego: sukces *Energiewende* stawiałby pod znakiem zapytania i tak trudny do uzasadnienia z ekonomicznego i ekologicznego punktu widzenia „ułański” projekt atomowy rządu Donalda Tuska. Dodatkowo, transformacja energetyczna oparta na „demokratyzacji” wytwarzania – idea na wskroś liberalna – godzi w podstawy państwowo-biznesowego molocha, jakim po 1989 roku stał się sektor energetyczny.

## **KLIMATYCZNY MESJANIZM I STRATEGICZNA SŁABOŚĆ PAŃSTWA**

Polska ma głęboki problem z polityką energetyczną. Na brak strategii nakłada się trudna sytuacja wyjściowa (uzależnienie od węgla) oraz czynniki kulturowo-psychologiczne. Fascynujący jest energetyczno-klimatyczny mesjanizm rządzącej koalicji. W polityce klimatycznej, według słynnych słów byłego wicepremiera Waldemara Pawlaka – „jesteśmy sami, ale mamy rację”. Cały świat zwariował, a nasz kraj jest ostatnim bastionem rozumu. Polska Akademia Nauk zasłynęła tym, że oficjalnie uznała antropogeniczne zmiany klimatu jako ostatnia narodowa instytucja naukowa na świecie!

Nic zatem dziwnego, że polskie elity polityczne jeszcze do niedawna otwarcie podważały istnienie zmian klimatycznych. Dziś, nauczone, że publiczne powtarzanie takich „argumentów” powoduje ostracyzm, w poszukiwaniu poparcia głoszą je tylko zakulisowo. Co ciekawe, w podważaniu konieczności ochrony klimatu naszym niespodziewanym sojusznikiem w gronie państw uprzemysłowionych jest... Rosja.

Ruchy i organizacje zajmujące się szeroko pojętą ochroną środowiska stanowią dla władzy idealną ofiarę. Zapomniano już o tym, jaki udział masowe protesty ekologiczne drugiej połowy lat 80. miały w demontażu systemu komunistycznego. Zapomniano też widać w obecnym gabinecie jak ogólnonarodowa kampania w obronie Doliny Rospudy przeważała szalę społecznego niezadowolenia i przyczyniła się do wyniesienia do władzy ekipy Tuska kosztem rządu PiS. Ekolodzy i ich sympatycy stali się więc „oszołomami” i „zielonym talibanem”, na przemian oskarżanymi o działanie w interesie Rosji lub Niemiec – najcięższy kaliber zarzutów, insynuujący zdradę stanu.

Nie można jednak zrozumieć stanowiska elit politycznych (bo w kwestii energetyki wszystkie główne siły w Sejmie stoją

na jednym stanowisku) bez wzięcia pod uwagę ekonomii politycznej i teorii polityki publicznej. Transformacja energetyczna, którą wymusza polityka klimatyczna (ale też zdrowy rozsądek), nie jest nikomu z „kierujących” na rękę. To, co nowe jest trudne i nieznane. Dużo łatwiej zarządzać *status quo*, czyli kurczowo trzymać się węgla – za wszelką cenę, wbrew interesowi społeczeństwa.

Nikt co prawda nie sugeruje, by porzucić go z dnia na dzień, ale chociaż zacząć rozważać „dekarbonizację” gospodarki w perspektywie 2050 roku. Takie wizje mają, wyzywane od chuliganów, środowiska ekologiczne – nie ma jej zaś aparat państwa. Antoni Kamiński i Jan Stefanowicz z Instytutu Studiów Politycznych PAN mówią w kontekście braku wydolności strategicznej o syndromie słabości państwa. Polityka energetyczna, klimatyczna i ochrona środowiska nie są więc odosobnionymi przypadkami, a raczej objawami pewnej choroby trawiącej III Rzeczpospolitą.

### **ENERGETYCZNY ANTY-LIBERALIZM I LIBERALIZM**

Najciekawszym przykładem jednoczesnej niemożności podjęcia sensownej decyzji i kurczowego trzymania się utartych schematów jest powrót do opracowanego w czasach PRL projektu elektrowni atomowej. Zarzucił go 1990 roku rząd Tadeusza Mazowieckiego pod wpływem nacisków międzynarodowych i ogromnej społecznej presji (*vide*: zapomniane społeczne referendum na Wybrzeżu, fascynujący przykład demokratycznej samoorganizacji na poziomie lokalnym). Po wygaśnięciu dwudziestoletniego moratorium sny o polskim atomie powróciły.

Warto jednak spojrzeć na ten projekt nie od strony czysto technicznej ale społeczno-politycznej. Elektrownia atomowa ma wszystko to czego trzeba wielkiemu infrastrukturalnemu projektowi w starym stylu. Jest monstrualnie kosztowna, wymaga scentralizowanego planowania i takiegoż zarządzania systemem

energetycznym, potrzebuje kontroli państwa i można ją przedstawić w kategoriach „postępu” – przynajmniej tak, jak był on definiowany jeszcze w latach 60. i 70.

Co więcej, aby elektrownię atomową zbudować i obsługiwać trzeba wyraźnie odciąć projekt od społecznej kontroli. Jakikolwiek demokratyczne mechanizmy grożą wykołajeniem atomowego pociągu – nikt nigdy nie będzie chciał z własnej woli zamieszkać w okolicy elektrowni jądrowej, wielu będzie zadawało niewygodne pytania o składowanie niebezpiecznych odpadów, a jeszcze większa grupa dociekliwych może wyliczać gigantyczne subsydia, jakich w obecnej chwili wymaga uzyskiwanie energii z atomu.

Budowa pierwszej elektrowni jądrowej w państwie demokratycznym w XXI wieku jest więc albo niemożliwa, albo stanowi doskonałą okazję do wyjęcia fragmentu państwa z obszaru podlegającego normalnym procedurom kontroli. A zatem do ograniczenia owej demokracji, pod pretekstem działania w imię wyższej konieczności, racji stanu, czy stabilności systemu. To bardzo kusząca wizja, zwłaszcza w kraju, w którym energetyka już teraz stała się państwowym oligopolem.

Na zupełnie przeciwnym biegunie jest energetyka rozproszona i obywatelska. Wymaga ona całkowitego przewartościowania sposobu myślenia o systemie energetycznym. Zamiast kilku wielkich elektrowni, którymi można sterować centralnie, mamy niezliczoną ilość małych i często niestabilnych źródeł wymagających koordynacji.

Te dwie propozycje to niekoniecznie, jak chce rząd, wybór między rozwojem gospodarki, a dezindustrializacją, ale raczej zderzenie mentalnego centralizmu i oddolnej organizacji; postępu w stylu gierkowskim i rzeczywistej innowacyjności, wreszcie autorytarnych ciągów i prawdziwej liberalnej demokracji opartej na upodmiotowieniu obywateli i zaufaniu im. „Demokratyczny”

i rozproszony system energetyki obywatelskiej wymaga bowiem nie tylko indywidualnej gospodarności ale fundamentalnego poczucia wspólnoty – pojedyncze elementy zdadzą egzamin tylko jako część większej całości i muszą się z nią zgrać.

Ponieważ jednak wyzwania są w polskim myśleniu i *governance* traktowane jako problem, a nie możliwość rozwoju, idea rozproszonego wytwarzania energii budzi natychmiastowy sprzeciw ekspertów i lobby energetycznego. Energetyka odnawialna nad Wisłą wprawdzie się rozwija, ale niejako wbrew polityce państwa – w „drugim obiegu”. Decyzje gabinetu Donalda Tuska oraz nieformalnego doradcy, a faktycznie odpowiedzialnego za kierunek polityki energetycznej rządu byłego premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego stają się coraz bardziej zadziwiające i stoją w coraz wyraźniejszej opozycji do deklarowanych przez nich wartości.

Trudno pojąć, dlaczego premier i duża część post-solidarnościowej klasy politycznej o liberalnym rodowodzie jest tak wrogo nastawiona do upodmiotowienia społeczeństwa jako współposiadacza i współinwestora w kluczowym sektorze polityki publicznej jaką niewątpliwie jest energetyka. Widać jednak wyraźnie, że przez ostatnie 25 lat nie zmieniło się w tym sektorze wiele. Transformację energetyczną Polska dotąd przepała, a liberalną rewolucję w tym obszarze – niegdysiejsi liberałowie niepotrzebnie tłumią.

**DR KACPER SZULECKI**

członek redakcji „Kultury Liberalnej”, adiunkt w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu w Oslo, założyciel Instytutu Studiów nad Środowiskiem i Polityką (ESPRi).

## Okrągły Stół. Co znaczy grać w tę grę

**Wydarzenia sprzed 25 lat, twierdzi wiele osób, powinno się dziś oceniać trzeźwo, pozostawiając za sobą zbędne emocje czy niepotrzebną nostalgię. Sęk w tym, że namiętne spory dookoła wydarzeń 1989 r. są niezbywalną konsekwencją ich politycznego sukcesu.**

Dla samookreślenia się każdej wspólnoty niezwykle istotny jest moment, od którego rozpoczyna się konwencjonalne liczenie politycznej „teraźniejszości”. W przypadku nieco starszych demokracji niż polska, sprawa nie wydaje się aż tak skomplikowana. Amerykanie mają 1776r., Francuzi niezmiennie swój 1789r. Niemieckim „rokiem zerowym” stał się 1945. A Polacy? Tu jest trudniej. Może 1918 r. (odzyskanie niepodległości), może 1945 (koniec drugiej wojny światowej), 1980 (porozumienia sierpniowe) czy 1989 (Okrągły Stół, wybory czerwcowe), może nawet... 2004 (wejście Polski do Unii Europejskiej)?

Żadna z tych dat nie występuje w roli jedynej i niepodważalnej cezury. Są jednak wśród nich wydarzenia bardziej i mniej

jednoznaczne. Gdy chodzi o moment założycielski, który fundowałby Polskę w znaczeniu społecznym, obywatelskim, będzie to zapewne 1980 r., z jego symboliką solidarnościową, jego wspólnotą działania i nadziei. Jednak, gdybyśmy szukali momentu, który funduje polską scenę polityczną – taką, jaka towarzyszy nam na co dzień – to bezdyskusyjnie punktem odniesienia pozostają obrady Okrągłego Stołu. Wzbudzają one dziś tak ogromne podekscytowanie, zarówno po lewej, jak i prawej stronie sceny politycznej, właśnie dlatego, że okazały się politycznym sukcesem. Przy czym był to moment tymczasowego kompromisu rozgrywających Polskę sił, a nie doskonałej sprawiedliwości czy doskonałej wolności. Moment, w którym powstały i utrwaliły się wszystkie linie podziału, które do dziś istnieją na polskiej scenie politycznej, tak bardzo zakorzenionej w tamtych czasach.

Był to również moment ogromnych komplikacji i niejasności, niepewności wszelkich moralnych ocen – a zatem chwila prawdziwie polityczna. Ta chwila jest do dziś oceniana na kilka radykalnie upraszczających ją sposobów: jako zdrada, spisek, jako narodowe pojednanie, jako skutek porozumienia elit ponad głowami obywateli, jako osiągnięcie celu w postaci wyeliminowania tychże obywateli z procesu decyzyjnego.

W istocie Okrągły Stół nie był żadną z tych rzeczy. Nie był zdradą i spiskiem – bo kompromis był tylko tymczasowy, a rzeczywistość polityczna płynna bardziej niż zwykle i, co wiemy zarówno ze świadectw, jak i opisów historyków, zaskakująca samych aktorów wydarzeń. Interpretacja Stołu jako zdrady i spisku jest zresztą tylko odwrotną stroną mitu „narodowego pojednania”, który ma równie niewiele sensu. Choć w polityce deklaracje pojednania w wyjątkowych sytuacjach się zdarzają, polityka jako taka na pojednaniu się nie polega. Jej gracze nie stają się trwale sprzymierzeńcami, nie chodzi w niej także o to, by wszyscy jej

uczestnicy „się kochali”. Polityka jest starciem sił, dialogiem, rozgrywką, choć nigdy o sumie zerowej i zawsze o stawce większej, niż tylko wygrana z przeciwnikami.

Nie był też Okrągły Stół ani „skutkiem”, ani „celem”, ale – tylko i aż – środkiem do osiągnięcia zmiany systemu. Dodajmy – pokojowej zmiany, co biorąc pod uwagę przykład Rumunii, wcale nie było w owych czasach oczywiste. Pokojowej – to istotne również w tym sensie, że może lepiej u początków systemu mieć nieoczywisty i trudny do oceny Okrągły Stół niż bitwę warszawską 1920 roku, która wzmocniła autorytet człowieka, który w 1926 rozmontował polską demokrację na drodze zamachu stanu.

Z tego punktu widzenia rozważanie, czy Okrągły Stół, czy reformy, które nastąpiły przed nim lub po nim, czy początki III RP były „właściwe”, nie mają większego sensu. Były momentem założycielskim polskiej polityki, która oprócz modelu okrągłościowego dysponowała (i dysponuje nadal) całym wachlarzem innych środków działania: protestami społecznymi i ich instytucjonalizacją, demokracją parlamentarną, partiami politycznymi, organizacjami pozarządowymi. W liście do znajomego warszawiaka Ralf Dahrendorf w 1990 r. zwracał uwagę, że Okrągły Stół w żadnym wypadku nie może być uważany za doświadczenie normalnej polityki. Ustalano wówczas „reguły gry”, niezbędne warunki dla dalszego rozwoju wolności.

To demokratyczna gra. Ważne, by w nią grać, ale nie dla samej gry. Grać w nią, aby uczynić ją lepszą. Ale bez utopijnego przekonania, że można uprawiać politykę bez polityki, że można powrócić do jakiegoś abstrakcyjnego momentu przed Okrągłym Stołem i zrobić politykę od nowa, że można wywołać społeczną rewolucję, która „oczyści” wszystko i wtedy można będzie dopiero usiąść z powrotem do negocjacyjnego stołu. Albo że można politykę oprzeć na isticie platońskim rozróżnieniu na „dobro” i „zło”.

To mrzonki gabinetowych intelektualistów zatopionych w książkach, którzy z prawdziwą polityką i prawdziwą przemocą (na ich szczęście) zwykle nie mieli nic wspólnego. Lub cyniczne obietnice polityków.

Grając, warto zastanowić się nad tym, jakie czynniki współcześnie determinują polską rację stanu. W pewnym uproszczeniu można ją zdefiniować tak: zaraz po przełomie – zbudowanie gospodarki kapitalistycznej, właściwie za wszelką cenę, a to z powodu przerażającego stanu finansów państwa w tamtym momencie; przed 1999, a potem przed 2004r. – włączenie Polski do Zachodu, przez NATO i Unię Europejską; po 2004r. – dogonienie poziomu życia na Zachodzie przez dobre wykorzystanie unijnych funduszy.

Dziś, z perspektywy 25 lat, potrzebujemy bilansu i definicji celów, które złożą się na polską rację stanu przynajmniej w ciągu najbliższej dekady. Czego będzie to dotyczyło? Po pierwsze: charakteru polskiego państwa. Jakie to właściwie państwo – co należy zdefiniować, wychodząc poza zupełnie zużyte, często w polskim kontekście w ogóle niejasne, sformułowania „opiekuńcze” czy „neoliberalne”? A może to po prostu państwo bez pomysłu, któremu trzeba nadać charakter i strategię? Jak ma wyglądać polska edukacja – nie tylko na poziomie średnim i wyższym, lecz także żłobkowym, przedszkolnym i podstawowym? Jak poradzić sobie ze starzeniem się społeczeństwa, skoro wiemy, że nawet najbardziej hojne instytucje opiekuńcze w Austrii czy Niemczech nie sprawiają, że Europejczycy chcą się rozmnażać?

Po drugie, polityka zagraniczna. Czy Polska może i powinna stać się ambasadorem Ukrainy? Jak powinna pozycjonować się w XXI w. względem swoich partnerów w Europie, jak – wobec USA, Rosji, innych krajów? Jaka jest rzeczywista kondycja – w aspekcie międzynarodowym – Polski jako państwa prawa? Co mówi o tym gigantyczny skandal, jakim było zbudowanie na naszym

terytorium tajnego więzienia CIA i sposób, w jaki sobie z tym dziś radzimy? Wreszcie, jakie my – Polacy – wyciągamy wnioski ze sprawy Edwarda Snowdena?

Po trzecie, społeczeństwo obywatelskie. Jak skłonić polską klasę polityczną, by ceniła jego różnorodność i rzeczywiście brała sobie do serca krytykę? Jak finansować społeczeństwo obywatelskie? Jak przekonać polskich polityków i biznesmenów, że są za nie odpowiedzialni?

I, *last but not least*, co z polską nowoczesnością, co z prawami kobiet i mniejszości, co z relacjami państwo–Kościół katolicki?

To tylko kilka politycznych trajektorii, które muszą być brane pod uwagę przy próbie określenia polskiej racji stanu na najbliższe lata. Warto nad nimi myśleć, pamiętając jednocześnie o jednym: ćwierć wieku temu wszyscy wygraliśmy. Zależy od nas i naszej ciężkiej pracy, co z tą wygraną dalej zrobimy.

**DR KAROLINA WIGURA**

historyczka idei, szefowa działu politycznego w „Kulturze Liberalnej”. Autorka książki „Wina narodów. Przebaczenie jako strategia prowadzenia polityki”.



## Święto niedoskonałości

**Wiosną i latem 1989 r. społeczeństwo nie miało siły i ochoty na rewolucyjną fiestę. Czy jest jednak sens dzisiaj żałować tej postawy i próbować „naprawiać” zaniedbania? Jak należy odpowiedzieć na wezwanie Bronisława Komorowskiego, by 4 czerwca 2014 zamienić w ogólnonarodowe święto polskiej wolności?**

Tomasz Jastrun, poeta i wnikliwy obserwator końca lat 80., dzień 5 czerwca 1989 r., kiedy ogłoszono wstępne wyniki wyborów kontraktowych, wspomina następująco: „Poszedłem [...] obejrzeć wyniki [...] w naszym punkcie. Spośród ludzi, którzy tam stali, nikt nie krzyczał, nie tańczył, nie wiwatował. W ich nadziei i tryumfie było ciężkie milczenie. Miara sukcesu była tak ogromna, że nas przygniotła”. Aleksandra Domańska, reżyserka teatralna, miała wówczas podobne odczucia: „Tak dobre wyniki, jasne jest, że wszędzie wygraliśmy – i nic. [...] Nie pozostał nam żaden symboliczny obraz tamtych dni – [...] to miasto tak samo szare, jak wcześniej. Rozmawiałam z działaczem „Solidarności” z Siedlec, który mówił

to samo, co ja czułam: był wtedy sam, zajmował się tym, co zwykle, oglądał telewizję – i nikt nawet nie zadzwonił. Pastelowość tego dnia jest dla mnie niepojęta” (Łukasz Bertram, *Wolność z wyboru*, „Karta” 2014, nr 79). Białostocki dziennikarz Stanisław Świerad zapisał zaś w dzienniku na początku lipca: „A ulica? A ludzie? Żyją dalej swoim życiem i szarością. Kolejki w sklepach takie same jak przedtem. I obawa przed czymś gorszym, co może lada dzień nadejść. Ludzie są podenerwowani. Dlaczego nie cieszą się ze zwycięstwa nad komuną i z tego nowego, które zaświtało nad Polską? A może oni się boją, co im przyniesie to nowe i nieznanne?” (dziennik w zbiorach Archiwum Opozycji Ośrodka KARTA). Te indywidualne obserwacje potwierdzają badania opinii publicznej – latem 1989 r. Polaków ogarnęło zwątpienie i poczucie bezradności. Nie potrafiono oswoić świadomości końca pewnej epoki, a w przyszłość patrzono z obawą.

Ujmowane konkretnymi datami lub ścisłymi cezurami przełomy historyczne, są konstruktami sztucznymi, formowanymi *ex post* przez naukowców albo polityków. Nie inaczej jest w odniesieniu do roku 1989, dziejowej szarej strefy, zawieszanej między inercyjną, schyłkową dyktaturą, a wypustkami nowego porządku, coraz śmieiej wpychającymi się w jej tkankę. Polacy nie wybili się na niepodległość żadną ułańską szarżą. To nierewolucyjne dokończenie rewolucji „Solidarności”, pozbawione własnych jakobinów, pozbawione było też własnej Bastylli. Ów marsz ku wolności przypominał raczej powolne pełzanie na ostatnim oddechu, czołganie się wycieńczonego społeczeństwa, rozdartego przez kilkadziesiąt lat między oporem a przystosowaniem, między dziewięcioma milionami członków „Solidarności” a ponad trzema milionami członków PZPR tuż przed Sierpniem 1980 r. Ale jednak to 4 czerwca 1989 r., w połowicznie demokratycznym plebiscycie, zostały przekreślone ostatnie kalkulacje dawnego reżymu na zachowanie kontroli

nad biegiem wydarzeń. Choć miejscami pastelowe, z różnych powodów gorzkie – z dzisiejszej perspektywy było to zwycięstwo.

Czy Polacy potrzebują jednak święta, które miałyby je upamiętniać? Wpływ państwowo legitymizowanych rocznic na społeczeństwo może być dwojaki. Z jednej strony konkretne, wydrukowane w kalendarzu na czerwono dni służyć mogą jako przestrzenie pamięci, wokół których integruje się wspólnota, jako stabilne punkty odniesienia dla społecznej świadomości, a nawet jako moralne drogowskazy. Z drugiej jednak strony, wiąże się z nimi ryzyko daleko idących uproszczeń i mitologizacji. Nadając pamięci o pewnych wydarzeniach kategorię święta, jesteśmy raczej skłonni wydobywać na wierzch ich wyidealizowane oblicze, chowając skrzętnie wszelkie kontrowersje, które mogłyby zawadzać w płaszczyźnie samozadowolenia.

Dla tego, kim dzisiaj jesteśmy i jakie mamy życiowe możliwości, 4 czerwca 1989 r. jest nieskończenie bardziej istotny niż 11 listopada 1918 r. Trochę w tym pewnie naszej winy – że nie potrafiliśmy uczynić z pamięci o tym pierwszym odzyskaniu Polski dla siebie czegoś więcej niż okazji do podziwiania smętnych defilad oraz wąsów Janusza Zakrzeńskiego lub jego następców wcielających się w rolę Marszałka. Byłoby więc fatalnie, gdyby święto czerwcowe – niezależnie od tego, czy wolne od pracy, czy wolne od grilla – miało polegać tylko na upajaniu się wyborczym czynem mas ludowych i oglądaniu kolejnego artysty przebranego w kostium Lecha Wałęsy, podjeżdżającego wypolerowanym polonezem pod dekoracje lokalu wyborczego i rekonstruującego wrzucenie głosu do urny. Byłoby fatalnie, gdybyśmy świętując 4 czerwca, mieli zapomnieć, że w 1989 r. czterech na dziesięciu Polaków nie poszło głosować. Byłoby wreszcie fatalnie, gdybyśmy mieli w ten sposób uciekać przed świadomością, że 1989 rok jest momentem założycielskim – naszej, niezaprzeczalnie naszej – III Rzeczypospolitej,

ale w dwojakim rozumieniu: zarówno jej sukcesów, jak i porażek, zaniedbań.

Chcąc ów moment właściwie celebrować, trzeba odnaleźć punkt równowagi między – może nawet socjotechnicznym, do pewnego stopnia manipulatorskim – podbudowaniem poczucia własnej wartości (bo to jednak my, naród, poszliśmy do tych urn) a zadawaniem ciągłych pytań o koszty i alternatywy (bo nie ma nic groźniejszego niż samoubóstwiająca się zbiorowość). To samo zresztą dotyczy 31 sierpnia, rocznicy zawarcia porozumień sierpniowych, kolejnego symbolu tonącego w formalinie lub politycznej żenadzie. Święto Wolności, którego chyba jednak potrzebujemy – byśmy polubili sukces, jaki odnieśliśmy – musi być też Świętem Odpowiedzialności – byśmy nie zastygli w przekonaniu, że żyjemy na najlepszym ze światów.

**ŁUKASZ BERTRAM**

doktorant Instytutu Socjologii UW, redaktor działu *Patrząc „Kultury Liberalnej”*. Zajmuje się przede wszystkim elitami politycznymi w systemach komunistycznych.

### III RP. Nasza mała nowoczesność

**W debacie o minionym 25-leciu ożywają dyskursy krytyków nowoczesności. Prostej opowieści o historycznym sukcesie przeciwstawia się tony apokaliptyczne. Nikt jednak nie sprostał dotąd całej ambiwalencji III RP – z jej wieżowcami, bazarami i Wojowniczymi Żółwiami Ninja.**

Marshall Berman, niedawno zmarły amerykański marksista, w książce „Wszystko, co stałe, rozplywa się w powietrzu” opisuje coś, co nazywa „doświadczeniem nowoczesności”. Chodzi o wir przemian społecznych, technologicznych i politycznych, w które zostają wciągnięte kolejne pokolenia mężczyzn i kobiet od połowy XVIII w. i czasów oświecenia. Następujące po sobie fale nowoczesności są obietnicą przygody, rozwoju i samostanowienia, a jednocześnie stanowią zagrożenie dla wszystkiego, co znane i cenne – dla dotychczasowej wspólnoty i jej wartości. Berman, literaturoznawca z pasją tropi bólączki i nadzieje nowoczesności na ulicach metropolii: w Paryżu Baudelaire’a, w Petersburgu Dostojewskiego oraz w swoim własnym Nowym

Jorku – a dokładniej w dramatycznie zmieniającym się Bronxie lat 60. – dzielnicy jego dzieciństwa.

### **ŻÓŁWIE NINJA NA BLOKOWISKACH GROCHOWA**

Gdyby do swoich krajobrazów nowoczesności Berman chciał włączyć Polskę, mógłby wybrać pewnie kilka przykładów: być może byłby to XIX-wieczny, drapieżny i energiczny, kapitalizm „Ziemi obiecanej”, być może kocioł powojennych przemian społecznych opisanych w „Prześnionej rewolucji” Andrzeja Ledera. Mogłaby to być również Polska po transformacji '89 roku. Na symbole polskiej nowoczesności Berman obrałby pewnie wieżowce i bazyry wkraczające między PRL-owskie osiedla; disco polo na Polsacie i brokułową zupę-krem zastępującą rosół na polskim weselu. Znalazłoby się miejsce zarówno dla Gary'ego Coopera z plakatu zachęcającego do udziału w wyborach czerwcowych, jak i dla upadającej stoczni w Gdańsku.

Siła jego sposobu opowiadania polega bowiem na zdolności do ujęcia i podtrzymania ambiwalencji nowoczesnych przemian; na uchwyceniu ich zwycięzców i przegranych. Posiadał on również inną ważną umiejętność – Berman potrafi włączyć do swojej opowieści to, co zdaje się niepoważne i marginalne. Dlatego nie zabrakłoby w naszej historii spojrzenia ówczesnych dzieci, które również doświadczały niepomiernej atrakcyjności tego, co nowe. Wystarczyło bowiem porównać uroczego, ale niezbyt dynamicznego Misia Uszatka ze światem Wojowniczych Żółwi Ninja, by odczuć obietnicę nowoczesnej przygody. Tak, Żółwie Ninja też powinny się znaleźć w tej opowieści o III RP.

### **MARMURY I SZKŁO, NĘDZA I ROZPACZ**

Bermanowska wyobraźnia pomogłaby przezwyciężyć słabości polskich opowieści o III RP, zniwelowanych nierzadko do historii

zdumiewającego sukcesu bądź gorzkiego upadku. Z jednej strony bowiem dominuje u nas opowieść o zdobytych wolnościach politycznych, rosnącej zamożności Polaków i szybkim doganianiu Europy; z drugiej strony – wyłaniają się diagnozy o cechach apokaliptycznych. Jedną z nich przedstawił Marcin Król w wywiadzie dla „Kultury Liberalnej” („KL” nr 260), w którym do opisu współczesnej Polski sięgnął po konserwatywne i lewicowe topoty krytyki nowoczesności. W diagnozie Króla Polska okazuje się światem bezwzględnej rywalizacji, alienacji i folwarcznych relacji w miejscu pracy, dużych nierówności ekonomicznych, zbiurokratyzowanego (a jednocześnie urynkowionego!) uniwersytetu oraz powszechnej prymitywnej konsumpcji.

Ta retoryka kryzysu i stanu wyjątkowego ma swoją potężną moc, nie tylko dlatego że sprawozdaje z autentycznych bolączek naszej sytuacji. Jest ona uznawana również za świadectwo moralnej prawości i etosu inteligenta realizującego swoją powinność – krytykę świata społecznego. Wybitni myśliciele najczęściej wszak wolą być posępni.

Odpowiada ona też odczuciom społecznym wielu ludzi zmęczonych przekonywaniem, jak znakomita jest ich sytuacja. Niestety, krytyka ta obciążona jest poważnymi wadami – po pierwsze, zapoznaje ważne obszary polskiego doświadczenia przemian, a po drugie, nie proponuje żadnych wskazówek do działania – wobec komplikacji procesów społeczno-politycznych zdaje się zatrzymywać wyłącznie na kasandrycznym tonie i geście moralisty.

Nasza dyskusja – jak pokazuje Berman – ma szansę stać się prawdziwie ciekawa dopiero wtedy, gdy będziemy potrafili wydobyc całą ambiwalencję III RP – sprzeczności, które konstytuują polską nowoczesność. Gdy pojawią się stanowiska, które unikają naiwnej idealizacji przeszłości. Perspektywy, które potrafiąc docenić rzeczywiste osiągnięcia nowoczesnej formacji, jednocześnie

nie zapominają o poszkodowanych w procesie modernizacji i aktywnie otwierają możliwości wsparcia dla nich. Przy spełnieniu tych warunków mogłyby wyłonić się formacje ideowe i propozycje polityczne, które nie charakteryzują polskiej gospodarki rynkowej wyłącznie przez pryzmat uciemienionych przedsiębiorców albo z drugiej strony – potężnego zagranicznego kapitału. Które nie opisują polskiego społeczeństwa jako dotkniętego „rewolucją konserwatywną” bądź odwrotnie – zagrożonego błyskawiczną ekspansją „ideologii gender”.

### **W STRONĘ MĄDREGO CENTRUM**

Obserwacja młodych środowisk intelektualnych daje tu nieco nadziei – okazuje się, że można tworzyć nieoczywiste konstelacje ideowe – być socjalistycznym chrześcijaninem, społecznie wrażliwym liberałem czy konserwatystą aktywnie promującym partnerskie relacje w rodzinie.

Postawa, która za punkt wyjścia przyjmuje odróżnienie od „pakietowych tożsamości” lewicy i prawicy, może napotkać oczywiście poważne zarzuty. Grozi jej banalność, posługiwanie się naiwną retoryką zdrowego rozsądku. Wobec braku politycznej drapieżności zagrożeniem jest też poprzestanie na afirmacji *status quo*, adaptacja do istniejącego porządku bez próby radykalnego przekształcania rzeczywistości politycznej.

W tu zarysowanej postawie nie chodzi jednak o uparte poszukiwanie złotego środka między lewicą i prawicą, lecz o próbę sprostania komplikacjom i wieloznacznościom naszego czasu, o analizę wielostronną. Niech przykładem będzie opowieść Bermiana – jak ująć ambiwalencje nowoczesności, uznać jej osiągnięcia bez usprawiedliwiania jej ofiar, a jednocześnie zachować energię do działania i myślenia; do dopytywania o realizację nowoczesnych wartości w naszym świecie. W kontekście III RP będzie

to dopytywanie choćby o to, jak bardzo „społeczna” jest nasza – zapisana w Konstytucji – „społeczna gospodarka rynkowa”.

Opis polskiej nowoczesności wymaga więc postawy opisanej w słynnym eseju „Kapłan i błazen” Leszka Kołakowskiego – „uciążliwego uzgadniania żywiołów najtrudniejszych do uzgodnienia”: „dobroci bez pobłażliwości uniwersalnej”, „odwagi bez fanatyzmu”, „inteligencji bez zniechęcenia” i „nadziei bez zaślepień”. Oto niemalże syzyfowa propozycja formułowania każdej nieuproszczonej diagnozy naszego czasu. III RP jeszcze nie doczekała się takiej kroniki.

**MICHAŁ JĘDRZEJEK**

stały współpracownik „Kultury Liberalnej”, doktorant na Wydziale Filozoficznym UJ i w Akademii Artes Liberales.



## „Jaka piękna katastrofa”...?

**Przysłuchując się medialnym komentarzom dotyczącym 25. rocznicy pierwszych częściowo wolnych wyborów w Polsce, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że starsze pokolenia – autorzy i uczestnicy tamtych wydarzeń – nie potrafią nam, młodym (a zapewne i sobie samym), opowiedzieć tego, co zdarzyło się przed ćwierćwieczem. Ta niezdolność jest ściśle związana z naszymi – jeżeli można je tak nazwać – „kłopotami z transformacją”.**

Na czym one polegają? Najogólniej rzecz biorąc, na tym że potrafimy jasno powiedzieć, od czego się uwolniliśmy, ale nie – ku czemu idziemy. Nie ma już komunizmu ani gospodarki centralnie planowanej, jest demokracja i wolny rynek. Ale po co nam demokracja i wolny rynek? Na to pytanie nasze elity nie potrafią dać przekonującej odpowiedzi. Bo trudno za taką uznać narrację mówiącą o powrocie do „normalności”, o tym, że Polska stała się na powrót „normalnym” europejskim krajem. Co to znaczy „normalnym”? Kto, w jaki sposób i w imię jakich wartości ustala

miarę owej normalności? Czy „normalna” w rzeczonym sensie jest – przykład pierwszy z brzegu – Francja, w której w wyborach do europarlamentu triumfuje partia Marine Le Pen?

Ta nieudolność w określeniu „normalności” miała swoje odbicie w tym, że nie potrafiliśmy dorobić się przez to ćwierćwiecze porządnego metapolitycznego sporu. Narracją polityczną rządził najpierw spór „postkomuchów” i „postsolidaruchów”, później – Platformy z PiS. Paradoksalnie rzecz ujmując, największą klęską III RP wydaje mi się porażka projektu IV Rzeczypospolitej. Była to na przestrzeni tych 25 lat bodaj jedyna próba rzetelnego prze-myślenia fundamentów naszego państwa, szybko przemieniona zresztą w żeton publicystycznej demagogii. Niechlubny los tego pojęcia jest miarą porażki naszych elit: po jednej stronie tych, które nie potrafiły uznać samej możliwości formułowania jakiejś alternatywy (nawet nie dla liberalnej demokracji przecież!); po drugiej – tych, które nie potrafiły swojego sprzeciwu sformułować w sposób stonowany, tak by jasno pokazać, że chodzi o reformę państwa (tego dotyczył oryginalny projekt Rafała Matyi), a nie krwawą polityczną hucpę.

Sukces ostatniego ćwierćwiecza (a uważam, że więcej nam się udało, niż się nie udało) pozostaje więc czymś niejasnym, przesłoniętym, nienazwanym. Zadowalały się frazesami o „powrocie do Europy”, „postępie gospodarczym” albo „budowie wolnego rynku”. Sukces widoczny jest zresztą bardzo wyraźnie na poziomie mikrohistorii – choćby wśród polskich małych i średnich przedsiębiorców, tej chyba najbardziej w Polsce dyskryminowanej grupy społecznej, która w tak wielu przypadkach wspaniale zdała egzamin z wolności i samodzielności.

Bardzo wiele pozytywnych zmian ma również miejsce w polskich urzędach (nie wszędzie, rzecz jasna), gdzie obywatel nie tylko może coraz szybciej i sprawniej załatwić swoją sprawę, ale

jest również traktowany poważnie, a nie jak petent przeszkadzający w mozolnej pracy urzędu. Te sukcesy są realne, nie ma jednak mowy o żadnej narracji ogólnej, obejmującej okres transformacji oraz polskie społeczeństwo jako całość.

Czy wynika to z niejasności sfery aksjologicznej III RP, z – nazywając rzecz po imieniu – nierozliczenia komunizmu? Częściowo zapewne tak. Nie wydaje mi się jednak, aby to tutaj tkwiła przyczyna problemu. Dopatrywałbym się jej raczej w tym, że nie przeżyliśmy doświadczenia „Solidarności”, wraz z centralnym dla tego ruchu przekonaniem o podmiotowej roli człowieka i wspólnoty w historii. W latach 90. przejęliśmy dość bezmyślnie deterministyczne narracje z Zachodu. Globalizacja i ogólnoswiatowy wolny rynek były przedstawiane na isticie heglowską modłę jako zjawiska, które są jednocześnie nieodwracalne, konieczne i pożądane. Czy nie dlatego pochwała transformacji ogranicza się do buńczucznej afirmacji demoliberalnej europejskiej normalności, krytyka zaś ostatnich 25 lat – do stwierdzenia, że należało działać „inaczej” (bez precyzowania jak i – co o wiele ważniejsze – za jaką cenę)?

Zresztą owa niedostrzeżona i nienazwana symetria między spóźnionymi bohaterami walki z komunizmem w sferze politycznej oraz spóźnionymi herosami walki z kapitalizmem w sferze gospodarczej jest jednym z najbardziej uderzających faktów naszego metapolitycznego krajobrazu. W obydwu przypadkach (choć na pozór wciąż i tu, i tam mowa o „alternatywach”) dominuje wątek deterministyczny: w kluczowym momencie historii, wtedy gdy decydował się kształt naszego społeczeństwa, mogliśmy wybrać inaczej. Zupełnie, jak gdyby teraz nie można już było o niczym decydować, jak gdyby wszystkie karty zostały już – raz na zawsze – rozdane. Wciąż widzimy w sobie raczej przedmioty unoszone falami wielkich historycznych przemian, aniżeli wolne podmioty,

zdolne je współkształtować. W tym, jak sądzę – a nie w rzekomej trwałości „postkomunistycznego układu” – tkwi brzemień PRL, którego nie potrafiliśmy się skutecznie pozbyć.

Czy zatem na minione ćwierćwiecze należy patrzeć w duchu Zorby jako na „piękną katastrofę”? Bynajmniej. Łatwo nie dostrzeżać tego, jak wiele się nam przez te 25 lat udało. Bo zazwyczaj jest tak, że to, co działa dobrze bądź chociaż przyzwoicie, nie rzuca się w oczy, to zaś, co szwankuje, natychmiast przykuwa naszą uwagę. Zwycięstwa są zawsze ambiwalentne, okupione realnymi kosztami. Tylko porażki bywają absolutnie jednoznaczne. Mamy powody do radości z tego, jak wyglądało 25 lat wolnej Polski. Ale nie może to być radość bezmyślna, niezdolna dostrzec realnych i poważnych wyzwań, jakie stoją przed nami, oraz szeregu ważnych rzeczy, których po prostu nie umieliśmy zrobić.

**DR JAN TOKARSKI**

filozof, historyk idei. Stały felietonista „Kultury Liberalnej”.  
Wkrótce ukaże się jego nowa książka pt. „Czas zwyrodniały”.

## **Stracony symbol '89**

**Dlaczego przełom 1989 roku do tej pory nie zyskał swojego wizualnego symbolu? Jak czasy transformacji postrzegają przedstawiciele młodszego, a jak starszego pokolenia? W czasie festiwalu filmów dokumentalnych Planete+ Doc z Grzegorzem Brzozowskim rozmawiali Michał Bielawski, Jacek Borcuch oraz Józef Pinior.**

**Grzegorz Brzozowski: Czy w tym, jak panowie wspominają rok 1989, znalazł się moment budzący poczucie wyrazistej zmiany, który mógłby stać się podstawą zbiorowego święta? Jeśli chwil takich zabrakło, to dlaczego?**

**JÓZEF PINIOR:** Wspominając rok 1989 – także podczas oglądania filmu Michała Bielawskiego – mam mieszane uczucia. Z jednej strony byliśmy wówczas przekonani, że mamy do czynienia z wydarzeniami o randze dziejowej, zupełnie fundamentalnymi i pozytywnymi, a z drugiej dało się odczuć dezorientację, zagubienie czy nawet bezwład. Wtedy nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, ale dzisiaj wiemy, że ten proces zakończył się przyjęciem

radykałnych zmian rynkowych, które doprowadziły z kolei do poczucia upokorzenia i marginalizacji wielu tysięcy ludzi. Jednocześnie w bieżących narracjach poświęconych tamtym wydarzeniom obecny jest też ton hurraoptymistyczny, przekonanie, że to było wspaniałe, wielkie, historyczne osiągnięcie, które powinno być punktem orientacyjnym dla całego świata.

A mówiąc całkiem poważnie, obawiam się, że nie da się już wykreować w tej chwili poczucia pewnej wspólnoty wokół 4 czerwca, uczynienia z tej daty czegoś, czym dla Francji jest zburzenie Bastylli lub dla Ameryki – wojna o niepodległość. Tym bardziej, że pamiętamy też o roku 1980, kiedy to mieliśmy do czynienia z rzeczywiście autentyczną, oddolną rewolucją, zupełnie euforycznym przeżyciem dla tego społeczeństwa. Tamten okres miał fundamentalne znaczenie dla dzisiejszej polskiej demokracji.

### **Czyli ostatnim momentem, który można by przełożyć na święto, jest nie tyle 4 czerwca, ile podpisanie porozumień gdańskich?**

**JP:** Jeżeli szukamy punktu, w którym skończył się komunizm, to moim zdaniem doszło do tego 31 sierpnia 1980 roku, czyli wówczas, gdy podpisano porozumienia w Gdańsku. Mimo że stan wojenny przedłużył jeszcze o kilka lat życie PRL, to bez wątpienia porozumienia sierpniowe można uznać za polskie zburzenie Bastylli. Przełomowym momentem duchowego upadku dawnego systemu autorytarnego jest z kolei powstanie „Solidarności” w 1980 roku. Daje się to odczuć nawet w języku: przywołując ten czas, mówimy o karnawale. To jest moim zdaniem czas założycielski, fundamentalny dla polskiej demokracji.

## **Jakie nastroje społeczne pamięta Jacek Borcuch z własnych doświadczeń 1989 roku? Czy został panu w pamięci jakiś wizualny symbol tego przełomu?**

**JACEK BORCUCH:** W maju 1989 roku pisałem maturę, miałem 19 lat, a w czerwcu po raz pierwszy oddawałem głos w wyborach. Nasza matura była symboliczna, wyjątkowa, ponieważ odczuliśmy, że po niej ruszyliśmy w świat kompletnie inny niż ten naszych rodziców i dziadków. I dla nas była to wartość. Pamiętam ten entuzjizm. Nie uświadczylimy subtelnych, intelektualnych sporów natury narodowej. Wtedy my, dziewiętnastolatki, cieszyliśmy się wolnością, co sprowadzało się do symbolicznych kwestii – na przykład tego, że granice są otwarte. To jest być może uproszczenie tych wspomnień do bardzo podstawowych wartości, ale pamiętam to bardzo wyraźnie.

Mnie ta zmiana onieśmiała, ponieważ nagle ktoś podarował mi cały świat do dyspozycji. A ja przygotowywałem się przez okres liceum na coś zupełnie innego. W połowie lat 80., mimo że pamiętaliśmy tę pierwszą „Solidarność”, nie sądziliśmy, że świat tak szybko się zmieni. Coś pękało w szwach, ale za bardzo tego nie śledziliśmy. Zajmowaliśmy się życiem na podwórku, dziewczynami, książkami, nie uczestniczyliśmy w debacie politycznej – byliśmy na to zbyt młodzi.

Przy okazji rozmów o filmie „Wszystko, co kocham” opowiadałem anegdotę o mojej babci, która przeżyła całą II wojnę światową w Berlinie. Wywieziona jako osiemnastoletnia Polka pracowała w jakiejś fabryce słodczy. Ona wspomina ten czas jako najpiękniejszy okres w jej życiu, ponieważ to był czas wchodzenia w dorosłość. Dla mnie rok 1989 stanowi właśnie taką cezurę. Dzisiaj, po 25 latach, widzę, że to zwycięstwo wcale nie okazało się równie piękne dla wszystkich. Ale wtedy przepełniał mnie entuzjizm młodego chłopaka. Pamiętam, że 4 czerwca urodziły

się w piwnicy mojego domu koty. Był szal, byliśmy młodzi, a potem... szliśmy głosować.

**Pozwolę sobie zapytać teraz Michała Bielawskiego o to, jak konstruował swoją wizję tych czasów. Dlaczego w swoim filmie zdecydował się pan nie uprzywilejować żadnego określonego punktu tego roku? Prezentuje pan wizję dość płynnie zachodzących przemian, bez jednego określonego wyznacznika przełomu. Czy to był pana zamysł od początku?**

**MICHAŁ BIELAWSKI:** Tak właśnie zapamiętałem ten rok i dlatego chciałem, żeby tak to wyglądało. Od początku wydawało mi się, że był to rok ambiwalentnych emocji, rok chaosu, który przeplatał się z entuzjazmem. Właśnie to, że ten okres okazał się tak niejednoznaczny w przepływie emocjonalnym, wydało mi się przy pracy nad filmem ciekawe. A później, jakby dochodząc krok po kroku do zaplecza, próbując zrozumieć, dlaczego niektórzy się obrażają, a inni bronią sensowności tych wydarzeń, doszedłem do wniosku, że to trzeba możliwie neutralnie zestawiać.

**A jak wyglądał proces zbierania materiałów do pana filmu?**

**MB:** Okazał się żmudny, choć szczęśliwie skorzystałem z pomocy znakomitych kwerendzistów i myślę, że udało nam się znaleźć sporo interesujących materiałów. Zadanie polegało na tym, by znaleźć rzeczy, których jeszcze wcześniej nie pokazano. To wcale nie jest proste, bo powstało już kilka filmów o 1989 roku. Nie dostrzegłem w nich jednak głosów dochodzących jakby z boku, to znaczy: wypowiedzi zdobytych w sondach ulicznych, ukradkiem, niechcący – jakiejś kobiety, która przechodzi obok kamery i po prostu coś mówi. Materiał ten chciałem zestawić chociażby z polską kroniką filmową, którą cechował pewien rodzaj niezdecydowanej narracji – jakby jej twórcy nie wiedzieli, czy się cieszyć,

czy nie, czy pozwalać sobie na pokpiwanie z tego, co się dzieje w kraju, po której stronie stawać.

**Jestem ciekaw luk w tej opowieści – czy do archiwaliów dotyczących niektórych wydarzeń nie udało się panu dotrzeć?**

**MB:** Pamiętam, że dla mnie pewien symbol tego okresu stanowiły naładowane emocjami wystąpienia telewizyjne Jacka Kuronia, który, jak miałem wrażenie, szalenie się angażował w tłumaczenie ludziom zachodzących przemian. Była taka seria wystąpień w dzienniku telewizyjnym czy po nim, kiedy Kuroń tłumaczył, dlaczego jest tak źle. Zmiany dokonywały się tak szybko, że nie każdy mógł za nimi nadążyć. Te materiały trudno mi było jednak znaleźć.

**Czy podejmując wyzwanie stworzenia dokumentu o całym 1989 roku, nie czuł pan pewnego ciężaru oczekiwań – ze strony krytyków czy widzów – dotyczących stworzenia wyczerpującej metafory całego przełomu?**

**MB:** Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Pamiętam, że przez mniej więcej 10 lat po roku '89 słyszeliśmy, że polskie kino ciągle czeka na portret tej transformacji – na to, że się ocknie i opowie o tym, co się wydarzyło, tłumacząc otaczający nas świat. Miałem wrażenie wyczekiwania na syntezę. Potrzeby takie są zresztą obecne zawsze, ale należy próbować pracować tak, aby się pod ich naporem nie ugiąć.

**Towarzyszyły one wielu kolejnym filmom na temat przełomu. Często wysuwano wobec nich zarzuty upolitycznienia, gloryfikacji przemocy czy ulegania pokusie kina gatunkowego, a o całej dekadzie lat 90. mówi się często w kontekście kryzysu polskiego kina. Odnoszę wrażenie, że za tymi zarzutami**

**stoi między innymi niezaspokojona potrzeba wielkiej, satysfakcjonującej metafory przełomu. Może jedną z przyczyn jej braku było rozgoryczenie procesem przemian ze strony ich wcześniejszych entuzjastów?**

**JB:** Myślę, że polskie kino uwolniło się wtedy od metafory. Całe kino moralnego niepokoju zostało zbudowane na idei przenośni, bo wyłącznie w tych przestrzeniach dało się komunikować się z inteligentnym widzem. Z kolei lata 90. przyniosły hiperrealizm: można było pokazywać złych i dobrych ubeków – w tamtym czasie najczęściej złych – ale też zwyczajnych ludzi, przedstawiać rzeczywistość w taki sposób, jaki się chce.

Ten kryzys nie polegał więc na niemożności stworzenia metafory – nikomu nie zależało na jej używaniu. Chciało się po prostu robić kino. Zachłysłaliśmy się również tym, co płynęło do nas zza otwartych nagle na Zachód drzwi. Wtedy też zwulgaryzował się kinowy język. Władysław Pasikowski najlepiej się w tym czasie odnalazł, bo dysponował przede wszystkim świetnym warsztatem, i w bardzo gatunkowy sposób opowiedział o rzeczywistości niemetaforycznie, ale równocześnie przystępnie.

**MB:** Wśród wypowiedzi twórców zebranych na festiwalu w Gdyni, na które natrafiłem przeglądając materiały do filmu, znalazłem wypowiedź Jacka Skalskiego, który wyraża nadzieję, że już nie trzeba będzie budować kina z metafor. Towarzyszyło temu poczucie zrzucenia balastu – ciężącego dlatego, że w końcu można robić filmy „inaczej”. Wcześniej dużo mówiono językiem ezopowym, warto było więc spróbować mówić wprost. To również nie jest łatwe.

**A czy polscy dokumentaliści uwolnili się szybko od tego ciężaru oczekiwań – zbudowania metafory? Jakie są według pana najważniejsze dokumenty z lat 90., obrazujące proces przemian?**

**MB:** Film Andrzeja Fidyka „Ostatki” wydaje mi się bardzo interesujący, bo mówi o dniu, kiedy rozwiązano PZPR. Pokazuje pewien moment uwolnienia zbiorowych emocji – ludzi, którzy przyszedli pod Salę Kongresową i mieli ochotę rzucać kamieniami. W filmie widać, że oni rzeczywiście mogą to zrobić – i to robi wrazenie. Oczywiście pamiętamy też film Marcela Łozińskiego „89 mm od Europy”. Mówię o tych dwóch, ale przyznam szczerze, że nie szukałem dokumentów, które stworzyłyby metaforę polskiej transformacji. Być może gdybym taki film znalazł, to nie chciałbym zrobić „1989”.

**JB:** Myślę, że nikt nie szukał wtedy takich filmów. Pokolenie, które wtedy dorastało, zaczyna opowiadać o tych wydarzeniach, ale jest to już zupełnie inna perspektywa niż ta, którą przedstawił Józef Pinior. Te nowe filmy nie stanowią zapisu własnego doświadczenia, nazwałbym je raczej promieniowaniem jakiejś ogólnej idei. My nie byliśmy w centrum tych dylematów, tego dialogu i w związku z tym oczekiwaliśmy raczej możliwości wyboru z rzeczywistości tego, czego chcemy.

**Który z filmów lat 90. najlepiej oddał według pana senatora ducha czasów? A może lepiej niż filmowcy zadaniu temu sprostali pisarze?**

**JP:** Ten problem nie dotyczy tylko filmu, lecz także literatury. Gdybyśmy mieli w tej chwili odpowiedzieć na pytanie, jaka książka pokazuje nam prawdę tamtego czasu, czy bylibyśmy w stanie ją wskazać? Proszę zwrócić uwagę, że w tej chwili właściwie nie czyta się poezji tak, jak się ją czytało w latach 70. ubiegłego wieku, jak to robiło moje pokolenie. Kiedy byłem w klasie maturalnej, chodziliśmy z tomikami Herberta w kieszeniach. Sądzę, że gdybyśmy dziś poszukiwali prawdy o świecie, o społeczeństwie w literaturze, mielibyśmy ten sam problem, co z filmem.

Wracając jednak do pytania o film: ja zdecydowanie bronilibym „Psów” Pasikowskiego. Pokazuje on pewną prawdę o Polsce tamtych czasów. Nowy stan rzeczywistości, o którym nie mówiło się w telewizji i w gazetach. Przedstawił te jej aspekty – i to w przerysowanej postaci – które uznawano za tabu. Pamiętam, że podczas pokazu w wypełnionej do ostatniego miejsca sali kinowej czuło się coś podobnego do tego, co klasycznie daje *katharsis*: przychodzisz do kina po to, żeby zobaczyć coś, co cię oczyści; to coś strasznego, ale po seansie wychodzisz wzmocniony przez to doświadczenie.

**Wróć do wątku, który poruszył Jacek Borcuch, czyli poszukiwań języka filmowego, z pomocą którego można opowiadać o czasie przełomu. W ostatnich latach poszerzyły się granice swobody, z jaką autorzy mogą podchodzić do tego tematu: obok „Wałęsy” Andrzeja Wajdy pojawiły się filmy takie jak pańskie „Wszystko, co kocham”, „80 milionów” Waldemara Krzystka czy „Bilet na księżyc” Jacka Bromskiego... Czy zatem można mówić o większej *licentia poetica* w opowiadaniu o transformacji? Czy pojawiło się przyzwolenie na mówienie własnym głosem o tym okresie – choćby poprzez intymne historie?**

**JB:** Istnieje popkulturowa moda na lata 80., być może dlatego że to czasy dzieciństwa dzisiejszych trzydziestolatków. Dzisiaj bardzo wielu twórców, szczególnie w animacji czy grafice, czerpie z tamtego czasu. Stąd fascynacja neonami czy logotypami; utęsknione, utracone loga, wspaniałe dizajn modernistycznego PRL-u, dzięki któremu Warszawa ma najpiękniejsze przystanki kolejki podmiejskiej. Młodzi architekci, artyści zaczynają dostrzegać, że ten świat nie był czarno-biały. Wydaje mi się, że ten trend jest przejawem tęsknoty za jeszcze wciąż nieopowiedzianą historią, że być może istnieje przestrzeń, którą można zagospodarować.

I dzieje się to na różne sposoby.

W moim filmie nie chciałem opowiedzieć o tym do końca świadomie. Chciałem opowiedzieć o muzyce. W tamtym czasie rodziło się w Polsce zjawisko, które nazywa się punk rockiem, przez które podłączyliśmy się do ruchu dorosłych. Dorosli mieli swoje znaczki „Solidarności”, a my wyrażaliśmy się w tej muzyce, która zaczęła być akceptowana. Znakomita większość piosenek z wczesnych lat 80. mówiła o tęsknocie do wolności. To jest szalenie interesujące, że o ile w Wielkiej Brytanii punk rock funkcjonował pod hasłem: *no future*, o tyle u nas był właśnie o przyszłości i nadziei.

**A czy pracując nad „Wszystko co kocham”, intymną opowieścią o egzystencjalnym doświadczeniu młodości w tamtych czasach, spotkał się pan z zarzutem naddawania im pewnej nostalgii w stylu filmu „Good bye Lenin”?**

**JB:** Ten film podobał się moim rówieśnikom, bo oni pamiętali ten świat w podobny sposób. Ale już nieco starsi mieli do niego odmienny stosunek. Na przykład Krzysztof Krauze powiedział mi po projekcji, że przesadziłem, że to landrynkowy obraz, że to nieprawda, że tak pięknie nie było. Ja mówiłem mu: Krzysztof, u mnie tak było, do mnie nikt nie strzelał, nikt nie bił pałką, robiliśmy, co chcieliśmy, żyliśmy nadziejami. Krzysztof nie mógł uwierzyć, bo on wtedy rozwoził ulotki, uciekał przed milicją i przez to nie widział tego normalnego życia, które toczyło się gdzieś na rogu ulicy – niewidoczne.

**„80 milionów” Waldemara Krzystka to fabularna opowieść zbudowana m.in. na podstawie doświadczeń pana Józefa Pinióra. Jak wyglądała pańska droga do zgody na oddanie swojej tożsamości filmowemu bohaterowi i jakich wymiarów tego doświadczenia nie udało się oddać?**

**JP:** To zawsze jest zderzenie, kiedy spotykają się artysta, który kręci film biograficzny z jego bohaterem, który jeszcze żyje. Artysta chce być wolny i ma swoją wizję. Z drugiej strony to jest moja biografia, moje życie, więc ja również uważam, że mam do tego prawo. Dla mnie proces kręcenia tego filmu był na swój sposób strasznym przeżyciem i myślę, że ekipa filmowa zniechęciła mnie na pewnym etapie pracy. Miałem świadomość, że nie mogę ingerować w wizję artysty, ale odsunięcie się było bardzo trudne.

W kolejnych scenariuszach główny bohater nazywał się Józek, ale żeby tam padało: „Józef Pinior” twórcy musieli mieć moje pozwolenie. Początkowo nie chciałem się na to zgodzić. Byłem w pewnym momencie wręcz przekonany, że to się nie zmieni i nawet zacząłem o tym mówić publicznie. W końcu, kiedy Krzystek wynajął już most Grunwaldzki we Wrocławiu, przez co sparaliżował miasto na dwa dni, spotkaliśmy z nim i jego ekipą filmową na ostatnią rozmowę przy winie. Oni byli w tym wieku, w którym ja byłem, gdy brałem te pieniądze. Kiedy zobaczyłem ten entuzjazm, dotarło do mnie, że dla nich to jest wielka przygoda, coś egzystencjalnie prawdziwego. Przekonałem się, że oni nie robią żadnej polityki, ale utożsamiają się z tamtym czasem, z działaczami wrocławskiego podziemia. Zorientowałem się, że to jest coś interesującego, ważnego i dobrego i w rezultacie podpisałem zgodę, w tę ostatnią noc.

**JB:** Udało się Krzystkowi pana zrobić!

**JP:** Można tak powiedzieć. Zgodził się też, by premierze filmu towarzyszyła książka Katarzyny Kaczorowskiej „80 milionów. Historia prawdziwa”, opisująca historyczne tło tych wydarzeń. To jest trochę tak: jak dzisiaj myślimy o Wiośnie Ludów czy o rewolucjach demokratycznych z początku XIX wieku, to przychodzi nam do głowy obraz Delacroix – czy chcemy, czy nie. Każdy, kto

będzie myślał o stanie wojennym we Wrocławiu, zobaczy go tak, jak to nakręcił Krzystek. Polityk zawsze przegrywa z wizją artysty.

#### **GRZEGORZ BRZOWSKI**

studiował socjologię i reżyserię dokumentalną, szef działu „Patrząc” w „Kulturze Liberalnej”. Interesuje się performatyką i socjologią religii.

#### **MICHAŁ BIELAWSKI**

autor filmów dokumentalnych, w maju 2014 r. miała miejsce premiera dwóch z nich: „1989” oraz „Mundial. Gra o wszystko”.

#### **JACEK BORCUCH**

aktor, reżyser, autor. m.in. polskiego kandydata do Oscara „Wszystko co kocham” oraz filmu „Nieulotne”.

#### **JÓZEF PINIOR**

prawnik, filozof, od 2011 r. senator Rzeczypospolitej Polskiej, w latach 2004–2009 poseł do Parlamentu Europejskiego. Po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego przywódca podziemnej „Solidarności” oraz współtwórca podziemnego Radia Solidarność we Wrocławiu, więziony w latach 1983–1988, uczestnik happeningów Pomarańczowej Alternatywy. Na kilka dni przed wprowadzeniem stanu wojennego uratował przed Służbą Bezpieczeństwa 80 milionów złotych związkowych składek dolnośląskiej „Solidarności”, co stało się tematem filmu Waldemara Krzystka.



## O „Kulturze Liberalnej”

**„Kultura Liberalna” to środowisko intelektualne i ośrodek myśli zbudowane wokół tygodnika internetowego o tej samej nazwie. Pismo powstało jako inicjatywa pro bono. Ukazuje się nieprzerwanie od 2009 r. pod adresem [www.kulturaliberalna.pl](http://www.kulturaliberalna.pl).**

Środowisko „Kultury Liberalnej” wyłoniło się z organizowanego przez kilka lat seminarium domowego.

Pismo stworzyli młodzi przedstawiciele polskiej akademii, dziennikarze, studenci, artyści i ludzie wolnych zawodów. Do września 2014 r. opublikowaliśmy ponad 290 numerów tygodnika.

Kolejne wydania ukazują się w każdy wtorek, także w tłumaczeniach na język angielski, niemiecki, francuski i rosyjski. Wszystkie publikowane na łamach „Kultury Liberalnej” teksty to pierwodruki.

Celem „Kultury Liberalnej” jest wzmacnianie i modernizowanie polskiej myśli liberalnej, a także uczestnictwo w międzynarodowych debatach na tematy społeczno-polityczne i kulturalne. Wykraczając poza wąskie, ekonomiczne rozumienie liberalizmu, piszemy o aktualnych wydarzeniach politycznych, gospodarczych

i społecznych. Publikujemy wywiady, artykuły, komentarze, recenzje filmowe i książkowe.

Na łamach tygodnika gościli już między innymi: Timothy Garton Ash, Anne Applebaum, Wiesław Chrzanowski, Christopher Clark, Alain Finkielkraut, Dariusz Gawin, Marcel Gauchet, John Gray, Agnieszka Holland, Necla Kelek, Iwan Krastew, Claus Leggewie, Paweł Lisicki, Zbigniew Nosowski, Adam Michnik, Martha Nussbaum, Martin Pollack, Olivier Roy, Saskia Sassen, Tomáš Sedláček, Peter Sloterdijk, Aleksander Smolar, Timothy Snyder, Radosław Sikorski, Charles Taylor, Michael Walzer, Lech Wałęsa i Martin Wolf.

Na „Poddaszu Kultury”, czyli w siedzibie tygodnika, organizujemy debaty, podczas których dyskutujemy na tematy polityczne, kulturowe i społeczne. Prowadzimy zażarte spory o polskie autorytety, wychodzimy poza utarte schematy myślenia i światopoglądowe klisze.

Dzięki statystykom odwiedzin strony **kulturaliberalna.pl** wiemy, że miesięcznie czyta nas około 40 tysięcy osób. Na portalu społecznościowym Facebook mamy niemal 30 tysięcy fanów. Liczby te stale rosną.

Z naszymi czytelnikami komunikujemy się także za pośrednictwem tradycyjnych mediów – nasi autorzy regularnie goszczą na łamach ogólnopolskiej prasy oraz w studiach stacji radiowych i telewizyjnych.

Tygodnik „Kultura Liberalna” został oficjalnie zarejestrowany przez Sąd Okręgowy w Warszawie, w rejestrze dzienników i czasopism pod pozycją Pr 16164, a jego numer w systemie informacji o wydawnictwach ciągłych to ISSN 2081-027X.

## **NOTA EDYTORSKA**

Wszystkie teksty są rozwinięciem artykułów publikowanych [www.kulturaliberalna.pl](http://www.kulturaliberalna.pl)

### **JAROSŁAW KUISZ**

*Dziurawe wiatraki, czyli jakiego obrazu sukcesów Polacy potrzebują*  
w: „Kultura Liberalna” nr 282 z dnia 3 czerwca 2014 r.

### **MARTA BUCHOLC**

*Zupełnie nowa frustracja*  
w: „Kultura Liberalna” nr 282 z dnia 3 czerwca 2014 r.

### **PIOTR KIEŻUN**

*Znaki szczególne nie takie szczególne, czyli urodzeni w roku '80*  
w: „Kultura Liberalna” nr 272 z dnia 25 marca 2014 r.

### **ŁUKASZ PAWŁOWSKI**

*Koziołki ofiarne*  
w: „Kultura Liberalna” nr 272 z dnia 27 marca 2014 r.

### **BLAŻEJ POPLAWSKI**

*Zabawa pamięcią. O 70. rocznicy powstania warszawskiego*  
w: „Kultura Liberalna” nr 290 z dnia 1 sierpnia 2014 r.

### **TOMASZ SAWCZUK**

*Rozróżba i świętość. Lewicy i prawicy problemy z Okrągłym Stołem*  
w: „Kultura Liberalna” nr 266 z dnia 11 lutego 2014 r.

### **KACPER SZULECKI**

*Wolność, klimat, elektryczność!*  
w: „Kultura Liberalna” nr 229 z dnia 28 maja 2013 r.

### **KAROLINA WIGURA**

*Okrągły Stół. Co znaczy grać w tę grę*  
w: „Kultura Liberalna” nr 266 z dnia 11 lutego 2014 r.

### **ŁUKASZ BERTRAM**

*Święto niedoskonałości*  
w: „Kultura Liberalna” nr 282 z dnia 3 czerwca 2014 r.

### **MICHAŁ JĘDRZEJEK**

*III RP. Nasza mała nowoczesność*  
w: „Kultura Liberalna” nr 283 z dnia 10 czerwca 2014 r.

### **JAN TOKARSKI**

*„Jaka piękna katastrofa” ...?*  
w: „Kultura Liberalna” nr 283 z dnia 10 czerwca 2014 r.

### **GRZEGORZ BRZozowski**

*Stracony symbol '89*  
w: „Kultura Liberalna” nr 280 z dnia 20 maja 2014 r.